Florian Śmieja. Wiersze z tomu „Dotykanie świata”.



Leszek Wyczółkowski, Time, grafika, 30×60.

W listopadzie 2016 r. ukazał się tom wierszy prof. Floriana Śmieji „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego życia poety, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji miała miejsce w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r.

Florian Śmieja

MINIBIOGRAM

W dzień mych urodzin nikt z armat nie strzela

chodząc ulicą nie budzę sensacji

na fluktuacje światowego rynku

nie wpływa wcale stan mojej wątroby.

Jak wielu innych pod uśmiechem skrywam

nieużywane pokłady czułości

czekam na właściwy telefon, na list

wyglądany od dawna, przyjaciela.

Taki to sporządziłem minibiogram

gdyby gdzieś miano wydać autentyczny

informator *Kto jest kim między ludźmi.*

***

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zobojętnienie

a każda ma odpowiedź zabrzmi: po co?

chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź

podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka

dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.

Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk

zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu

lecz nie odmówię ciepłego dotyku

dobrego słowa, ufnego spojrzenia

drobiny światła przed idącą nocą.

***

NIEWAŻNE

Nieważne jest miasto do którego lecimy

Toronto, Los Angeles, albo Honolulu,

bo i tak pamięć zaszłego nas nie opuści

nie przepadnie tęsknota, żal się nie odmieni.

W sobie przecież niesiemy płomień najważnjejszy,

którego nie wystudzi dystans, ani zmiana,

żegnania w południe czy rozłąka północą.

***

OREGON

Kiedy drzewo traci walkę o byt

nie zawsze się załamuje

często pogruchotane stoi dalej

odarte z kory, pozbawione korony

trwa na miejscu uparcie

korzenie nie puszczają ziemi

pień zanim się w proch rozkruszy

by urzyźnić glebę

nadal daje schronienie

oparcie ptakom i owadom.

Dlatego las nie umiera.

***

PRZYSTANEK

Kiedy po drodze

przystanę, by się pochylić

nad małą kępką trawy

pytają się spieszni kierowcy

co on tam zgubił?

Pieniądze? Zegarek?

A to oni sa stratni.

Ja znajduję moment skupienia

ofertę zieleni

a czasem, gdy się poszczęści

czterolistną koniczynkę.



Leszek Wyczółkowski, Golden Moments, grafika.

***

DIOGENES

Szedł mozolnie, wytrwale

próbował białą laską.

Chodził w kółko, choć padał

deszcz i bryzgały pojazdy.

Był ociemniały. Liczne

śledziły go oczy, bo osób

dokoła było bez liku.

Ale pomocy nie było.

W końcu pojawił się chłopak

wziął go łagodnie pod ramię

i poprowadził z powrotem.

O jak radośnie wywijał

białą laską, meldował,

że można znaleźć człowieka.

***

PISARZ EMIGRACYJNY

Miał kiedyś pisarz emigracyjny

komfort dystansu, który izolował

a patrząc z dala nie dostrzegał trywiów

ani nikczemnych ciosów niżej pasa.

Mógł się zajmować szerszą perspektywą

ogólną panoramą, widokami z góry.

Technologia nam zniosła przestrzeń

i na ekranie poznać każdą zmarszczkę

naszych idoli oraz adwersarzy.

Lecz jak w tej ciżbie odróżnić warhoła

od lojalnego obywatela, kto nie na szaniec

lecz na wiece, rozpoznać pospolite

ruszenie od zadymy? Emisariusze

wszelkiej prywaty zdolni przez Atlantyk

wieźć swoją bibułę. Za późno

coś robić na pochwałe grodu,

sprywatyzowany ma różnych kasztelanów

którzy się wiecznie wadzą o swoje trybuty.

***

MARNOŚĆ

Jeżeli ludzkie przekonania to piasek,

który wiatr rozwieje, to co są warte

konfabulacje otwartego człowieka

chcącego pojąć zawiłości świata

a mężnie zachować się wobec bytu?

Czy na darmo trudzi się kontemplacją

I w samotności przpędza swój żywot?

Marność nad marnościami ostrzegało

Pismo od wieków acz z niewielkim skutkiem.

Pozostawiając nam wszystkim nadzieję

mędrzec podpowiada, by z nędzy bytu

wykrzesać to, co tą nędzą już nie jest.

***

DOTYKANIE ŚWIATA

Dotykanie świata obyło się bez

mierzenia sił na zamiary. To raczej

zrządzenie losu, co bosego malca

ze śląskiej nadgranicznej prowincji wiódł

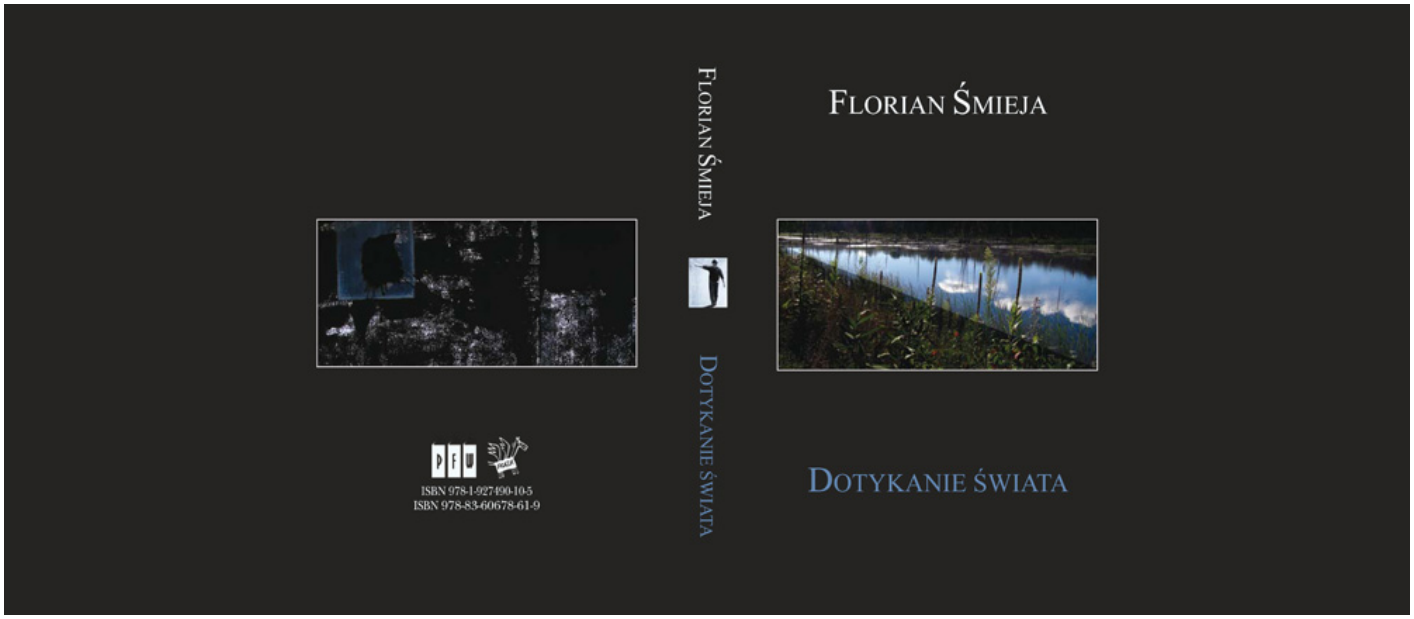
w labirynty niespodziewane, potem

bezpiecznie przez zawieruchy prowadził

po złudne laury i honory świata,

o którym synek z Kończyc skrycie marzył.

Florian Śmieja, Dotykanie świata, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto-Rzeszów 2016 r.



Władysław Teodor Benda – artysta, którego pokochała

Ameryka

Rozmowa z Anną Rudek-Śmiechowską, autorką pionierskiej książki o Władysławie Teodorze Bendzie, bratanku Heleny Modrzejewskiej, wybitnym ilustratorze, twórcy amerykańskich masek.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Co zafascynowało Panią we Władysławie Teodorze Bendzie, że zdecydowała się Pani zająć tą postacią?

Anna Rudek-Śmiechowska: Odpowiadając na to pytanie, muszę cofnąć się do czasu studiów, które odbywałam w pięknym Lublinie. Studiowałam historię sztuki. Szukając tematu na seminarium magisterskie postanowiłam sięgnąć po dzieje polskiej emigracji artystycznej w Stanach Zjednoczonych. Wybór kontynentu i tematu był niejako oczywisty.

Ze względów rodzinnych bywałam za Oceanem wielokrotnie, głównie w Nowym Jorku. Miasto, ludzie, kultura, historia – niesamowicie mnie fascynowały. Poznałam tamtejsze środowisko artystów i kolekcjonerów, tak polskich, jak i amerykańskich. Oglądałam dzieła sztuki, słuchałam ciekawych opowieści, obcowałam z wydarzeniami i śladami historii. Wiedziałam, że

kultura i sztuka tworzona przez Polaków w Ameryce jest ciekawa i znacząca, niemniej niezbyt dobrze opracowana przez historyków sztuki. Wśród artystów działających w Stanach Zjednoczonych istnieją ci wybitni, którzy zostali zauważeni i docenieni, ale i ci, którym los nie rozdał dobrych kart. Wielu z nich zasługuje jednak na uwagę i rzetelne studia.

Najpierw zdecydowałam się na opracowanie dziejów PAAS, czyli Polish American Artist Society. Było to stowarzyszenie, które działało w Nowym Jorku w latach 1985-1991. Niezwykłe postaci, ciekawe założenie, ambitne plany, niestety nieco smutne zakończenie. Obecnie pracuję nad książką poświęconą temu zjawisku, więc nie będę zdradzać wszystkich szczegółów. O PAAS powstała moja praca magisterska. Rozprawę napisałam pod opieką prof. Jana Wiktora Sienkiewicza, który zajmuje się polską emigracją artystyczną (poświęcił wiele swoich studiów naukowych emigracji polskiej w Anglii). Po obronie profesor zasugerował, abym zastanowiła się nad doktoratem i poszukała odpowiedniego tematu.

Kilka miesięcy później, będąc z wizytą w Nowym Jorku, namówiona przez ojca, poszłam na wystawę do Fundacji Kościuszkowskiej, w której pokazywano urywek dokonań W. T. Bendy. Po obejrzeniu jego prac zaczęłam szukać książek, opracowań i… nie znalazłam nic. Kilka informacji, kilka artykułów. Wtedy postanowiłam zająć się postacią W. T. Bendy i

przywrócić pamięć o nim.

JSG: Benda uczył się w Krakowie i w Wiedniu. Był malarzem, rzeźbiarzem, ilustratorem. Czy długą drogę musiał przejść, zanim w Ameryce doceniono jego europejskie wykształcenie i talent?



W. T. Benda, [Mężczyzna z fajką], rysunek, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

ARŚ: Do wymienionych miejsc nauki należy dodać również Amerykę, gdzie W.T. Benda podjął edukację artystyczną w trzech

placówkach. Pierwszą z nich był kalifornijski Mark Hopkins Institute of Art, potem już znaczące nowojorskie placówki, czyli Chase Art School (założona przez samego Williama Merritta Chase'a) i Art Students League. O Chase Art School warto wspomnieć kilka zdań, gdyż tam W.T. Benda uczęszczał na nauki do jednego z najpopularniejszych artystów amerykańskiej awangardy, a mianowicie do klasy prowadzonej przez Roberta Henriego, twórcy tzw. The Ashcan School – Szkoły Śmieciarzy. Wśród kolegów szkolnych byli: George Bellows, Rockwell Kent, John French Sloan, Walter Pach, Walter Biggs, Walter E. Tittle. W.T. Benda wspominał, że „była to niezwykła klasa", co nie ulega wątpliwości, zważając choćby na postać nauczyciela, który był wielbionym przez studentów mistrzem.

Zaczynając jednak od początku, to W.T. Benda zaczynał edukację artystyczną w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych (dzisiejsza Akademia), ale trwało to zaledwie dwa semestry. Zachowały się jego świadectwa, w których dobrą opinię o uczniu wydaje m.in. Władysław Łuszczkiewicz. Wydaje mi się jednak, że dużo więcej zyskał na naukach w Wiedniu, w prywatnej szkole sztuk pięknych Heinricha Strehblowa, gdzie zdobył umiejętność posługiwania się techniką rysunku węglem – tak podziwianą i zaskakującą w jego późniejszej karierze.

Na nowym kontynencie artysta dosyć szybko znalazł zlecenia i pracę. Jego podpisy jako ilustratora znalazłam już w rysunkach z

1904 roku, a więc niecałe pięć lat po przyjeździe do Ameryki. Myślę, że znaczącą rolę w tej kwestii odegrała ciotka Helena Modrzejewska i przetarte przez nią szlaki. Tak więc nie wydaje mi się, aby jego amerykańska droga była specjalnie trudna, jeśli chodzi o początki. Niemniej wymagała od niego rzetelności, pracowitości, kontaktów z Amerykanami (a więc i nauki języka), ponadto nieustannego doskonalenia umiejętności, wiary we własny talent. Myślę, że W.T. Benda należy do tych artystów, którzy choć urodzeni w Polsce, to należą do Ameryki, która ich pokochała i niejako adoptowała.

JSG: W.T. Benda syn muzyka Szymona Bendy – przyrodniego brata wielkiej aktorki Heleny Modrzejewskiej, przyjechał do Stanów Zjednoczonych wraz z rodzicami i siostrami na zaproszenie ciotki w 1889 roku. Pierwsze zlecenie pochodziło od Heleny Modrzejewskiej, która poprosiła go o zaprojektowanie scenografii i kostiumów do „Antoniusza i Kleopatry". Jak potem potoczyła się samodzielna kariera artysty?

ARŚ: Pierwszym przystankiem na nowym kontynencie była siedziba Modrzejewskiej w Arden. Stamtąd W.T. Benda przeniósł się do Los Angeles, potem do San Francisco i w końcu do Nowego Jorku. O tym, że ciotka pomagała bratankowi na początku amerykańskiej wędrówki, świadczy kilka faktów. W Muzeum Narodowym w Poznaniu znajdują się rysunki sygnowane przez W.T. Bendę (datowane na 1899 rok), które

przedstawiają kostiumy kobiece do sztuk teatralnych i były przygotowywane dla Heleny Modrzejewskiej. W jednym z listów Heleny Modrzejewskiej do męża Karola Chłapowskiego znalazłam informację, że Władzio (jak nazywała go ciotka) założył „atelier" czyli studio rysunku w Los Angeles i ciotka mu w tym pomagała. Niemniej artysta nie był zależny od Modrzejewskiej, szybko odnalazł się w nowej rzeczywistości i zyskał uznanie.

Przede wszystkim ilustrował książki, gazety, magazyny. Był bardzo znanym i często zatrudnianym ilustratorem. W 1913 roku w wywiadzie dla „Metropolitan" przyznawał, że jest to jego „główne zajęcie". Badając życie i twórczość artysty udało się ustalić, że jego prace ukazały się w ponad dwudziestu tytułach prasowych (w latach 1903-1943), ponadto rysunki zdobiły liczne książki, plakaty, ulotki, manifesty. Tworzył dla gigantów, ale i małych gazetek drukowanych na bardzo kiepskim jakościowo papierze. Wśród tytułów wymienić należy choćby: „Hearst's International", „Cosmopolitan", „Life", „Scribnre's", Mc'Clures". Tworzył też niezwykłe maski, które przyczyniły się do rozwoju jego kariery, a w czasie wielkiego kryzysu stały się jednym ze sposobów na utrzymanie.



W. T. Benda, niezidentyfikowana maska, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska Golden Goddess, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska The Old Wag, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.



W. T. Benda, Maska The Miser, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

JSG: Maski – to była wyjątkowa dziedzina twórczości Bendy. Zaczęło się od tego, że znajomi zaprosili go na bal maskowy, podczas którego założona przez niego maska wzbudziła niemały zachwyt. Poświęca Pani dużo miejsca w swojej książce maskom, uznając je za odrębną gałąź sztuki. Na czym polegał fenomen masek W.T. Bendy?

ARŚ: W. T. Benda był nie tylko jednym z filarów ilustracji amerykańskiej, ale i „ojcem amerykańskich masek”. Sam nazywał je swoimi „papierowymi dziećmi”. Dlatego też w książce, która z założenia jest monografią życia i twórczości

artysty, poświęcam maskom tyle miejsca, ile ilustracjom. W pewnym momencie zupełnie przypadkiem, W. T. Benda zaczął tworzyć maski, szybko jednak stał się wielkim znawcą tematu, wybitnym ekspertem.

Jego prace wykorzystywał sam J.M. Anderson w swoich nowojorskich rewiach, zdobiły one niejedną okładkę czasopism (nie tylko dotyczacą teatru), były też np. rekwizytami fotograficznej sesji mody tworzonej dla magazynu „Vogue", pojawiały się w filmach, telewizji, ale i powieściach czy nowelkach (jako określenie tajemniczego wyrazu twarzy). W.T. Benda do dziś uważany jest za eksperta w tej dziedzinie, a nazwisko jego wymienia się w opracowaniach o maskach, pantomimie, czy rewiach.

Znaczenie, ale i niespotykaną dotychczas wagę działania W.T. Bendy w świecie masek świetnie zilustrował słowami przyjaciel twórcy, a naczelny magazynu „Vanity Fair" – Frank Crowninshield, który napisał: „Benda dokonał tego, co mógł zrobić tylko prawdziwy artysta. Ożywiając starą sztukę, wymyślił nową". Maski W.T. Bendy były w Ameryce (ale i na świecie) czymś nowym, a raczej nowatorskim w stylu. Odniosły wielki sukces ze względu na popularność teatru i rewii w tamtym czasie.

W historii sztuki bezsprzecznie należy je uznać za unikat i

fenomen swoich czasów. Choć powstały przypadkiem, jako atrybut na bal maskowy, to w ciągu wielu lat pracy nad nimi oraz dzięki popularności jaką zyskały na scenach (nieomal całego świata) „fałszywe twarze” W.T. Bendy stały się jedną z piękniejszych gałęzi sztuki. Oparte na tradycji japońskich masek „No”, teatralnych maskach greckich i rzymskich, maskach pośmiertnych, tradycyjnych maskach rytualnych z Afryki czy Ameryki, były zupełnie inne, nowe i dotychczas niespotykane. Miały wielką siłę oddziaływania, ale i tak charakterystyczną dla W.T. Bendy delikatność, tajemniczość i romantyzm.

JSG: Czy artysta stosował specjalne techniki wytwarzania masek?



W. T. Benda ze swoimi maskami, fotografia (1920), zbiory prywatne, fot. ARS.

ARŚ: Wszystkie maski tworzył wg własnych, autorskich technik. Pracował nad sposobem ich powstawania, doborem odpowiednich materiałów, ale i warsztatem, dwadzieścia lat. Stworzenie jednej maski wymagało od niego kilku miesięcy pracy. Zaczynał od studiów natury, potem robił szkice, dalej już rysunki i projekty, konstruował korpusy (m.in. z drutów, z

tektury), dalej nakładał na nie skrawki papieru i odpowiednio malował, impregnował. Maski służyły głównie teatrowi, tak więc wymagały odpowiedniego zabezpieczenia od potu tancerek, czy częstego dotykania. Tutaj najlepszym sposobem, jaki znalazł W.T. Benda, było pokrywanie warstwami złota. Podczas złocenia, którego dokonywał w swoim studio, wyganiał z pomieszczenia żonę, córki i kota, ponieważ każdy nawet najmniejszy podmuch mógł zniszczyć ten cenny materiał.

Całą swoją wiedzę o maskach (ich historii i sposobie tworzenia) zamknął w autorskiej książce „Masks", gdzie opisał wszystkie działania z charakterystyczną rzetelnością (książkę można czasem znaleźć i kupić przez internet). Z tego co udało mi się ustalić nie miał następców, uczniów. Było kilku naśladowców (wśród niech tancerka Margaret Severn), ale żadnemu nie udało się stworzyć tak pięknych i doskonałych masek jak W.T. Bendzie.

Maska aktorki Katharine Hepburn, była jedną z nielicznych masek-portretów. W. T. Benda tworzył głównie maski nie będące realnymi postaciami. Interesowały go raczej zbiory cech, typów ludzkich lub przedstawienia mogące obrazować jakieś wydarzenia, tańce czy opowieści. Tworzył fantazyjne demony, twarze ilustrujące stereotypy lub będące wyobrażeniem jakichś cech, rodzajów ludzkich, typów np. delikatne kobiety, gentlemanów czy mężczyzn z podkreślonymi cechami przynależnymi ich stanowi np. „Wojewoda" o wielkich

sumiastych wąsach.

JSG: Wiele znanych magazynów, wykorzystywało na okładkach ilustracje autorstwa W. T. Bendy. Były to głównie wizerunki kobiet. Czy to właśnie maski oraz okładki top magazynów tak go rozsławiły w Ameryce?

ARŚ: W.T. Benda przede wszystkim był znanym ilustratorem, a uznanym twórcą masek teatralnych stał się dopiero po 1914 roku. Niemniej te dwie różne dziedziny determinowały osiągnięcia artysty. Dodatkowo W.T. Benda był projektantem, scenografem, aktorem, pisarzem, ale i malarzem. Uznanie jakim się cieszył miało związek oczywiście z jego talentem i umiejętnościami technicznymi, ale wiązało się również z tym, że pracował właśnie w Stanach Zjednoczonych i to w okresie tzw. „Złotej Ery Ilustracji Amerykańskiej" i wielkiej popularności rewii.

Wpisał się doskonale w zawód ilustratora. Miał wyczucie do tematów, stylu i estetyki, która wówczas obowiązywała– stąd tak często występujące w jego twórczości czy na okładkach portrety kobiet. Miał również odpowiedni charakter. Współpracował np. z magazynem „McClures", w redakcji którego nazywany był „czarnym koniem". Określenie to oznaczało, że można było na nim polegać zlecając mu zadania nawet z dnia na dzień. Wykonywał je rzetelnie, zawsze o czasie, z wielką pasją i

profesjonalizmem. Jak chodzi o rewie dużo dało mu to, z jakiej pochodził rodziny (ojciec był muzykiem), ale i to, że miał niezwykłe wyczucie i dar oddawania kobiecego piękna, a także to, że stworzył niespotykane dotychczas maski o specyficznym wyrazie.

JSG: Portrety kobiet, które tworzył Benda znacznie różniły się od wystylizowanego, słodkiego wizerunku, który był wcześniej rozpowszechniony. Artysta zdobył uznanie jako znawca kobiet, czego wyrazem było zaproszenie, do komisji jurorów w wyborach Miss America. Co takiego nowego było w wizerunkach kobiet stworzonych przez Bendę?

ARŚ: Wydaje mi się, że rola jurora w konkursach Miss America była raczej związana ze znajomościami artysty i jego pozycją w towarzystwie. Dzięki pracy jaką wykonywał znał wiele ważnych osobistości, wśród których wymienić można choćby: potentata prasowego Williama Hearsta, redaktora naczelnego „Vanity Fair" Franka Crowninshielda, reżysera rewii J.M. Andersona. Bywali u niego sam I.J. Paderewski czy Władysław Reymont, spotykał się z innymi ilustratorami w tym z Ch. D. Gibsonem. Może dlatego został zaangażowany jako członek jury?!



W. T. Benda, Zobeida from Syria, reprodukcja ilustracji, zbiory prywatne, fot. ARS.

Portrety kobiet zaś, to nawiązanie do trendu w sztuce amerykańskiej, a także wymogów rynku ilustracji i magazynów. Portrety były domeną sztuki amerykańskiej oraz obowiązującym

tematem okładek, reklam. „Kobiety Bendy” cechował charakter jego kreski. Każdy ilustrator, zwłaszcza ten już uznany i popularny (czyli często angażowany do pracy) posiada swój specyficzny sposób rysowania, dosyć łatwy do rozpoznania. Analizując postaci kobiet sygnowane ręką W.T. Bendy uważa się, że były bardziej ludzkie, naturalne, ale i tajemnicze, pełne subtelnego, kobiecego wdzięku. W wielu przypadkach W. T. Benda ilustrował postaci emigrantek, nieco innych od wizerunków białych Amerykanek, które tworzył choćby król ilustratorów słynny Charles Dana Gibson. Na wiele ilustracji W.T. Bendy trzeba patrzeć przez pryzmat obowiązującej mody i estetyki kraju, w którym powstały, choć nie determinuje to oczywiście oceny i możliwości podziwiania jego prac przez „zwykłych śmiertelników”.

Jedną z moich ulubionych ilustracji stworzonych przez W. T. Bendę jest portret syryjskiej kobiety o imieniu Zobieda, narysowany dla „The Century Magazine” w 1913 roku. Dziewczyna siedzi podparta, kieruje swój wzrok prosto na widza. Jej głowę oplata turban, rękę zdobi bransoletka. Twarz nie jest posągowa, okładkowa, jest zwyczajna, a zarazem mistyczna, ciekawa, wzbudzająca emocje, wywołująca huragan myśli. Wydaje mi się nieraz, jakby coś chciała do mnie powiedzieć. Jakby miała zamiar mnie zaczepić, a ja przegapiłam właśnie ten moment. Praca jest równie subtelna w detalach, jak i samej kresce. Lubię na nią patrzeć, bo wydaje mi się, że stanowi

syntezę możliwości W. T. Bendy i świadectwo jego talentu oraz pewnej magii – przynależnej każdemu wybitnemu artyście – którą roztaczał tworząc swoje dzieła. Nie jest to jego najlepsza ilustracja, ale jest ciekawa, zaczepna.

Lubię też portrety w stylu art deco, w tym okładka magazynu „Life" z lutego 1923 roku, czy „Saturday Evening Post" z maja 1934 roku. Charakteryzujący je odpowiedni dobór kolorów, subtelność portretowanych twarzy, delikatność kreski, wysmakowana estetyka.

JSG: Dlaczego prace węglem wykonywane przez W.T. Bendę były powodem zdziwienia?

ARŚ: Leicester B. Holland będący szefem Division of Fine Arts Biblioteki Kongresu pisał w 1933 roku, w jednym z listów do W.T. Bendy: „Pana prace dotarły do mnie jakiś czas temu i wreszcie miałem szanse przyjrzeć się im dokładnie. (...) Co ciekawe, nadal zaskakuje mnie, że wykonane zostały węglem. Włada pan tym narzędziem w tak malarski sposób, że nieświadomie myślę o nich jako o wykonanych pędzlem – widok oryginałów tego nie zmienił. Dobrze wiem, że wykonane zostały węglem, jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że są namalowane" – i nie był w tej opinii osamotniony.

Przyznać trzeba, że W.T. Benda był mistrzem rysunku węglem.

Jego prace wykonane tą techniką są niesamowite. Mistrzowski sposób kładzenia kreski, światłocień, zaklęty ruch i wydobywana głębia – wszystko to tworzy doskonałe rysunki, dzieła które w odpowiedni sposób wydobywają konkretną treść. W Ameryce była to technika niecodzienna, ponadto dosyć trudna w utrzymaniu, konserwacji.

Niemniej W.T. Benda posługiwał się też ołówkiem, gwaszem, piórkiem, ale i pastelami, akwarelą, był też malarzem, rzeźbiarzem i projektantem – i w tych pracach wykorzystywał przynależne im techniki.

JSG: W.T. Benda brał czynny udział w akcji Ignacego Jana Paderewskiego, zachęcającej do wstępowania w szeregi armii. Wśród plakatów informacyjnych jest wiele jego autorstwa. Jakie poza tym były związki artysty z Polską?



W. T. Benda, [Dziewczyna w zielonej chuście], rysunek, zbiory Ann Taylor, fot. ARS.

ARŚ: W.T. Benda urodził się w Polsce, w Poznaniu. Spędził w nadwiślańskim kraju prawie 25 lat. Ponadto był bratankiem Heleny Modrzejewskiej, a ona mimo pozycji i szczęścia jakie zdobyła w Ameryce, często w Polsce bywała oraz działała na rzecz ojczyzny. Podobnie było w przypadku W.T. Bendy. Wracał kilka razy do Polski z wizytami – bywał w Zakopanem (te wizyty zapisały się w pamięci jego córki Eleonory, ale i w opublikowanych autorskich opowiadaniach artysty), był na pogrzebie ciotki Modrzejewskiej w Krakowie.W Nowym Jorku

W.T. Benda przyjmował polskich gości m.in. Władysława Reymonta, Zdzisława Dębickiego z „Tygodnika Ilustrowanego”. Z I.J. Paderewskim współpracował na rzecz Polski tworząc liczne plakaty rekrutacyjne oraz skierowane do społeczeństwa w celu zapewnienia pomocy ofiarom I i II wojny. Miał związki z Fundacją Kościuszkowską itd.

Podsumowując jego bezpośrednie związki z Polską trzeba powiedzieć, że były to tylko krótkie odwiedziny. Polska stała się dla niego wyłącznie krajem przodków, krajem pochodzenia. Podkreślam jednak, że nigdy nie odcinał się od Polski, zawsze wspominał, że jest Polakiem. Uważał ją za swoją ojczyznę, podtrzymywał kontakty z Polakami, bywał w kraju, ale co ważniejsze korzystał z polskich motywów, symbolii pewnych cech, które objawiają się w jego pracach poprzez umiejętność oddania romantycznej atmosfery, emocji, pewnej tajemniczości. Niemniej nie wydaje mi się, aby był z Polską jakoś bardzo związany i tęsknił za krajem dzieciństwa. Pochłonęła go Ameryka, zawładnął nim Nowy Jork. W. T. Benda stał się jedną z bardziej lśniących gwiazd zamieszkującej go ławicy. W tym kontekście podobny był do swojego kuzyna, konstruktora mostów, Rudolfa Modrzejewskiego (Ralph Modjeski), syna Heleny Modrzejewskiej.

JSG: Pani praca jest pionierska, nie było wcześniej tak dogłębnego opracowania życia i twórczości tego niezwykłego

artysty. Zebrała Pani ogromny materiał, zarówno w Polsce, jak i w Ameryce. Jak długo trwało poszukiwanie materiałów?

ARŚ: Kiedy zainteresowałam się postacią W.T. Bendy okazało się, że artysta nie doczekał się monografii, czy choćby szerszych studiów. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie. Na jego temat powstało kilka (dosłownie) artykułów i wzmianek biograficznych. Pierwsze prace zaczęłam już w 2008 roku, przygotowałam tzw. stan badań, gdzie zebrałam istniejące artykuły m.in. dr Marioli Szydłowskiej i dr Marka Pohlada. Potem starałam się o stypendium Fundacji Kościuszkowskiej na badania. Grant otrzymałam w 2009 roku, dzięki czemu mogłam spędzić trzy miesiące w Stanach Zjednoczonych poszukując śladów artysty.

Opracowywanie zebranych materiałów zabrało mi pięć lat. Wtedy skończyłam doktorat, którego tematem był właśnie W.T. Benda, a która to praca powstała pod opieką prof. dr hab. Andrzeja K. Olszewskiego. Pracę obroniłam na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w 2014 roku, a niecałe dwa lata później wydałam książkę – pierwszą w historii monografię życia i twórczości W.T. Bendy. Jeśli liczyć wszystko razem – od przekroczenia progu Fundacji Kościuszkowskiej w celu zobaczenia wystawy, po otrzymanie autorskiej książki do rąk własnych – praca zajęła mi prawie 9 lat.

JSG: Pisze Pani, że nawiązała kontakt z rodziną artysty. Proszę o

tym opowiedzieć?

ARŚ: O rodzinie artysty wiedziałam z tekstu Marioli Szydłowskiej, która opisała W.T. Bendę w swojej książce poświęconej artystom urodzonym w Polsce, a działającym w Ameryce w teatrach i biznesie filmowym (M. Szydłowska, Między Broadwayem a Hollywood. Szkice o artystach z Polski w Stanach Zjednoczonych, 2009). Ona poinformowała mnie o miejscu ich zamieszkania. Kiedy zdecydowałam się napisać doktorat o W.T. Bendzie i pozyskać na to grant z Fundacji Kościuszkowskiej nawiązałam z nimi kontakt e-mailowy, dokładnie z wnuczką artysty Ann Taylor. Bardzo przychylnie zareagowała ona na moje listy i zaoferowała pomoc.

Po przyjeździe do Nowego Jorku skontaktowałam się z nią telefonicznie i zostałam zaproszona do nich na Święto Dziękczynienia. Podczas tego spotkania poznałam córkę artysty Eleonor Benda Bostelmann Shimmler oraz prawnuki (synów Ann Taylor). Potem jeszcze kilka razy gościłam u nich oglądając prace Bendy i fotografując prawie wszystkie materiały jakie udało im się wyciągnąć z licznych pudełek, słuchałam opowieści i informacji jakie posiadają. Byłam też w domu Eleonor, gdzie mogłam podziwiać prace jej ojca i zamienić z jego córką kilka znaczących słów, a także usłyszeć wspomnienia o człowieku, którego tak bardzo, bardzo kochała. Eleonor nie doczekała już publikacji o ojcu, zmarła w 2014 roku.



W.T. Benda, Kobieta z maską, okładka Life Magazine, 1922 r.

JSG: Czy rodzina WT Bendy ma świadomość polskich korzeni, zna polską historię i postać Heleny Modrzejewskiej?

ARŚ: Rodzina bardzo ceni sobie i dba o twórczość artysty. To niezwykle mili i otwarci ludzie. Po wielu latach pracy nad

książką, kiedy otrzymali ode mnie egzemplarz, niezmiernie się ucieszyli. Ann Taylor napisała do mnie wówczas:„Dziękuję Ci bardzo za poświęcenie czasu na poznanie mojego dziadka. Moja mama byłaby bardzo zadowolona, że zachwyciłaś się jej ukochanym tatą”.

Zarówno wnuczka, jak ijej synowie, a więc prawnuki W.T. Bendy znają postać dziadka, wiedzą, że był Polakiem, że jego ciotką była sławną Heleną Modrzejewską. Jeden z nich – Tatcher – studiował nawet teatrologię i zorganizował pradziadkowi kilka wystaw. Niemniej rodzina W.T. Bendy to Amerykanie, którzy nie byli w Polsce i nie czują już mocnego związku z krajem swoich przodków. Szanują W.T. Bendę i szczycą się nim, ale bez podkreślania jego polskości. Dla nich to nieznany świat.

JSG: Na czym polega niezwykłość W.T. Bendy?

ARŚ: W.T. Benda był dobrym artystą, z wielką wyobraźnią, świetnym warsztatem i udanym życiem rodzinnym, towarzyskim i zawodowym. Raczej nie mówiłabym o niezwykłości, bo można mówić, że był niezwykły, gdyż jako artysta miał tylko jedną ukochaną żonę…, a może ze względu na to, że szybko zasymilował się z amerykańskim społeczeństwem i znalazł w nowym kraju własną ścieżkę artystyczną…, a może był niezwykły z powodu swojego poczucia humoru, czy też z powodu tworzenia niezwykle realistycznych masek. Powiedziałabym raczej, że był

dobrym i uznanym artystą ilustratorem i twórcą masek teatralnych, z którego możemy być dumni jako Polacy.

JSG: W.T. Benda zmarł na zawał w 1948 roku przed wystąpieniem na temat masek, które miał wygłosić w Newark Public School of Fine and Industrial Art w New Jersey, gdzie pracował jako nauczyciel rysunku. Czy w Ameryce się o nim pamięta?

ARŚ: W.T. Benda był artystą plastykiem, uprawiającym dwie niszowe dziedziny sztuki (dziedziny, czasem nawet nie zaliczane do sztuk pięknych). Nie można więc mówić o jego wielkiej popularności. W.T. Benda był znany i popularny w latach, w których tworzył. Wielki kryzys, pojawienie się fotografii, zmiany jakie przyniosły wojna światowe, w tym pojawienie się w Ameryce przedstawicieli europejskiej awangardy (kubistów, ekspresjonistów itp.) a więc zmiana estetyki i stylu w sztuce, spowodowały, że postać artysty została schowana do głębokiej szuflady.

Jego popularność liczyć powinniśmy sukcesami i liczbą okładek jakie zilustrował w czasach największej świetności prasy (jego prace znalazły się w ponad 20 tytułach) oraz tym, jakie ceny dzisiaj osiągają jego nielicznie pojawiające się prace. Ceni się go w kręgach znawców ilustracji i środowiskach teatralnych.W tym kontekście bezsprzecznie można mówić o jego popularności i o

tym, że jest doceniany jako artysta i to doceniany w wielkiej i niedoścignionej Ameryce.

Anna Rudek-Śmiechowska, Władysław Teodor Benda, wyd. Universitas, Kraków 2016.

Obłąkane wiersze Rafała Wojaczka

Florian Śmieja



Rafał Wojaczek, fot. Instytut Mikołowski.

We Wrocławiu nieraz chodziłem na sąsiadujący nieomal z Hotelem Asystenta, w którym mieszkałem, cmentarz św.

Wawrzyńca, aby w jego ciszy pomedytować nad granitowym głazem mogiły Rafała Wojaczka.

Nie brak wśród poetów postaci tragicznych, fatalnych, ofiar ciemnego losu. Dawniej bywała nim choroba podcinająca młode skrzydła, na którą nie znano lekarstwa. Później zdarzały się wypadki, gdy artyści śmierć sobie zadawali sami, nieraz z premedytacją, dzieląc się swoimi zamiarami z publicznością, orkiestrując w pewnym sensie swoją śmierć na oczach wielbicieli i współtworząc jeszcze za życia własny mit. Do takich postaci zaliczymy Rafała Wojaczka (1945-71).

Urodził się w Mikołowie pod Katowicami w 1945 roku w rodzinie nauczycieli. Mieszkanie dzięki pietyzmowi lokalnych miłośników literatury, jest dziś centrum kultury, gdzie odbywają się odczyty, wieczory autorskie i wystawy. Szkołę średnią ukończył w Kędzierzynie, zapisał się na filologię polską w Krakowie, ale zrezygnował po jednym semestrze. Zamieszkał we Wrocławiu próbując utrzymać się z pióra. W 1966 roku ożenił się z pielęgniarką, którą poznał w klinice psychiatrycznej. Miał z nią córkę Dagmarę, lecz małżeństwo się wnet rozpadło. Wojaczek zmarł tragicznie ll maja 1971 roku we Wrocławiu.

Piotr Kuncewicz w historii poezji ostatnich dekad dodaje:

> Właściwie samouk, obarczony jakimiś pokrętnościami psychicznymi, bardzo zdolny i przystojny, a na dodatek od początku cieszący się literackim powodzeniem. Chuligan i lump, zdeklarowany alkoholik, awanturnik popadający w konflikty z prawem, pacjent szpitala psychiatrycznego, a równocześnie błyskotliwy talent i osobowość mistyczna, pogrążona w rozpamiętywaniu mroków świata i nieuchronności śmierci.

Ileż to razy słyszymy ostrzeżenie, by nie łączyć twórczości z życiorysem twórcy, że to są dwie różne sprawy, że dzieło oddziela się od swojego autora. A przecież sam Wojaczek napisze:

> …Poetą się jest. Jest się nim żyjąc. Zaś bywa się czasem skrybą, czyli grafomanem. Bywa się nim wtedy, kiedy braknie siły, by dźwigać ciężar swego życia. Wtedy ucieka się do ogródka sztucznym sposobem ogrodzonego i sadzi się smętne kwiatki na schludnej grządce…

Zdaje się też mówić to samo w dystychu: „Nie myślą o Bogu,/tylko szukają sposobu!”

W autobiograficznym poemacie prozą „Sanatorium” Wojaczek rozszczepiał swojego protagonistę, którym był sam, na dwie persony: przedstawianego in actu Sobeckiego (pamiętamy, że takim nazwiskiem, nazwiskiem panieńskim matki, Wojaczek się nieraz podpisywał) oraz Piotra, jego krytyczne alter ego (imię trzeźwego inspicjenta nie bez kozery jest tutaj imieniem starszego brata). Pierwsza z nich to Rafał Wojaczek, który działał, druga – rzeczowy obserwator jego postępowania.

Edward, ojciec Rafała, słowami syna, „miał wiele z jego powodu zmartwień”. Pochodzący z chłopskiej rodziny ojciec ciężką harówką zdobył wykształcenie, był później powstańcem śląskim, kacetowcem i nauczycielem licealnym. Z niepokojem obserwował poczynania syna, z troską tym głębszą, że sam w młodości miał okres trudny, z którego się jednak wydobył. Wychodził z pokoju, kiedy Rafał umyślnie przechwalał się swoim trybem życia. Ale materialnie mu pomagał i jeździł do niego, choć często ich spotkania kończyły się sprzeczką.

Rafał (trzeźwo myślący Piotr w tekście) zapisze: „A przecież obaj dążyli do spotkań i przez pewien czas wspólnej obecności umieli cieszyć się nią”. Potem jednak wybuchały zrozumiałe scysje. Ojciec wyjeżdżał rozdrażniony do swojej szkoły, syn, słowami Wojaczka, „do swej literatury, do swoich obłąkanych wierszy…” I przyznawał, że każdemu szło o obowiązek, że obaj mieli rację. Syn miał rosnące poczucie winy. Ojciec natomiast często czytał

utwory syna szukając w nich dowodu na patologię, ale był również doskonałym krytykiem tych wierszy, choć ogarniał go strach widząc, dokąd to wszystko mogło prowadzić. Kiedy z czasem dochody ojca stały się skromniejsze, a widmo starości kazało mu oszczędzać, skończył hojne dotacje dla syna, którego reakcję, pewne zniechęcenie w miejsce dawnej pasji, poczytywał za wychodzenie z nieszczęśliwej sytuacji psychicznej.

Jeżeli tak układały mu się stosunki z ojcem, a nie pomagała im wcale lektura pamiętników Kafki, to jakie miał stosunki z matką? Listy, które do niej pisał, były jedną serią komplementów i próśb o paczki. Ale w innym tekście Wojaczek-Piotr opowiada nonszalancko o zachowaniu się Wojaczka-Sobeckiego względem matki.

> O nieszczęsna matko jego, która mu zawsze, kiedy tylko sposobną ku temu znalazła okazję, powtarzałaś: Synku, pamiętaj, szanuj się! A miałaś na myśli zarówno zdrowie jego, o które nie dbał ku wielkiemu twemu utrapieniu, a także nadwerężeniu finansowemu, jako że będąc młodym poetą nie korzystał z dobrodziejstwa ubezpieczenia społecznego i za lekarstwa, jakich sobie żądał na chorobę, musiałaś płacić stuprocentową należność; a przede wszystkim, powiadając tak do niego, myślałaś o jego opinii u ludzi, którą szargał sobie niebywale. I oto za to, że żadnych

wymagań w stosunku do niego nie miałaś poza tym jednym, aby czasem doniósł ci o sobie; za to, że dbałaś, by ubrany chodził jak człowiek; że baczyłaś, by miał się w co ubrać ciepło, by skarpetki miał całe, by gacie miał czyste, by nie chodził w dziurawych butach, by rękawiczki miał na zimę oraz szalik ciepły, by koszule miał choć dwie na zmianę, by miał płaszczyk odpowiedni na chłody, by chustek do nosa stosowną zawsze miał ilość, by spodnie mu nie przeświecały na tyłku, by marynarka była nie przetarta na łokciach, by sweter miał i piżamę i papucie; za to, że mu paczkę co tydzień posyłałaś, by mu nie brakowało kawy, herbaty, cukru i papierosów, by masła używał, by sera podjadł, by kiełbasą się posilił; za to, że o pościel jego dbałaś, o czysty ręcznik i o to, by mu mydła nie zabrakło oraz pasty do zębów; za to, że troszczyłaś się, czy ma dobrą szczoteczkę do tychże, grzebień do włosów i wodę kolońską dla powabu; za to, że dbałaś, by mu papierosa do pisarskich potrzeb nie zabrakło; za to, że żebrałaś o ten papier u znajomych maszynistek; za to, że mu dostarczałaś ołówków, gum, notesów, zeszytów, spinaczy, kleju i wszelkich innych przyborów kancelaryjnych; za to, że opłacałaś za niego mieszkanie, że grzywny płaciłaś tak, był ojciec się nie dowiedział, że pokrywałaś sumy nakazów płatniczych kolejowych i komunalnych rozumiejąc, że musiał jechać, choć nie miał pieniędzy; że wykupywałaś go z aresztu, że comiesięczną sumę alimentów na córkę, której znać nie chciał, posyłałaś; że pisałaś do niego listy

> zawsze mając dlań słowa pociechy w trudnym życiu jego; za to, że byłaś najlepszą matką mimo jego oszczerstw, jakie na ciebie ciskał, jakie odważał się, sprytnie ująwszy w wierszowaną formę, cynicznie podawał do publicznej wiadomości na ból twój i rozgoryczenie; za to, że mu nigdy bólu swego i rozgoryczenia nie okazywałaś, okazując jedynie troskę o to, by mu się jak najlepiej wiodło w niewdzięcznej pracy literackiej; za to że go do uzdrowisk wysyłałaś, opłacając pobyt; że go zabierałaś do Kazimierza i Kołobrzegu, do Połczyna i Iwonicza, by odetchnął, by sił nabrał, a on się na wstyd i pośmiewisko narażał, w awantury się wdając i wszczynając burdy; za to, że był twoim synkiem najukochańszym, najlepszym, zawsze oczekiwanym, hołubionym, obsługiwanym; za to wszystko tak ci się odwdzięcza, szargając nazwisko i dobre imię matki Polki, w podejrzenie podając twoją troskę, twój trud włożony w jego wychowanie, w kształtowanie jego obywatelskiej postawy, zaufanie podważając w twoje poczucie obowiązku i w twoją miłość matczyną, jedyną, cierpliwą, wierną i wieczną.

W jednym z najczęściej cytowanych wierszy Wojaczka pojawiły się splecione razem ważne w jego poezji postacie Matki Boskiej, Polski i matki:

> Matka mądra jak wieża kościoła

Matka większa niż sam Rzymski Kościół

Matka długa jak transsyberyjska

Kolej i jak Sahara szeroka

I pobożna jak partyjny dziennik

Matka piękna niczym straż pożarna

I cierpliwa jak oficer śledczy

i bolesna jak gdyby w połogu

I prawdziwa jak gumowa pałka

Matka dobra jak piwo żywieckie

Piersi matki dwie pobożne setki

I troskliwa jakby bufetowa

Matka boska jak Królowa Polski

Matka cudza jak Królowa Polski

Miał starszego o 12 lat brata. Podobnie jak o matce ironicznie, Wojaczek opisuje go w tymże tekście raczej kąśliwie:

> Pan inżynier, odpowiedzialny pracownik wojewódzkiego urzędu, mający pod swoją pieczą sprawę czystości powietrza, którym oddychają obywatele, mąż żony swej Elżbiety, pracownicy naukowej, zajmującej się zagadnieniem czystości wód, w których ryby żyją na pożytek obywatelom; pan inżynier, właściciel samochodu marki trabant, dbający o niego i myjący go co sobotę przy użyciu gąbki, a także specjalnego szamponu dla samochodów, dbający także o czystość i porządek w mieszkaniu, przy czym dbałość ta z czasem przerodziła się w chwalebną manię o podłożu paranoidalnym, przez co ani jeden najmniejszy pyłek nie miał prawa bytu na rozległych i znakomicie wypolerowanych płaszczyznach parkietu; pan inżynier, prowadzący tryb życia rozważny, w ten sposób, by każda chwila procentowała godziwą gotowizną, nie mogący poświęcać zbyt wiele czasu lekturze, gdyż zmuszony zarabiać na samochód, na benzynę do niego, na dom, na reprezentację, wolne chwile, jakich niezmiernie miał mało, poświęcający pracy w przydomowym ogródku, hodowaniu truskawek, pietruszki i róż;[…] Piotr nocą przechodząc pod oknami domu, w którym brat jego odpoczywał po znoju dnia powszedniego, dla bandyckiej i wysoce niespołecznej fantazji budził śpiącego oraz żonę jego,

> kamieniami tłukąc szyby w oknach…więc pan inżynier ze snu i tak niestety niespokojnego wyrywany tak brutalnie ruszał w pościg za złoczyńcą, co było o tyle łatwe, że Piotr wcale nie zamierzał uciekać, najczęściej z powodu swego stanu nie zdający sobie sprawy z zaistniałego faktu….

Był jeszcze młodszy brat, aktor, Andrzej. Trzeźwy młodszy brat, wedle określenia poety. Pamięta on swojego trudnego brata z niechęcią. Bo był źródłem niekończących się cierpień rodziny, źródłem różnych wieści, autorem szokujących obrazów w wierszach. Napełniał bezradnością i lękiem o przyszłość. Rafał, owszem, cierpiał, ale i swoim dostarczał cierpień, więc w końcu podziw dla artysty ustępował złości wobec zarozumiałego sprawcy nieszczęść własnych i cudzych.

W liście do Stefanii Cisek, dopiero niedawno ujawnionym we fragmentach, Wojaczek się spowiada:

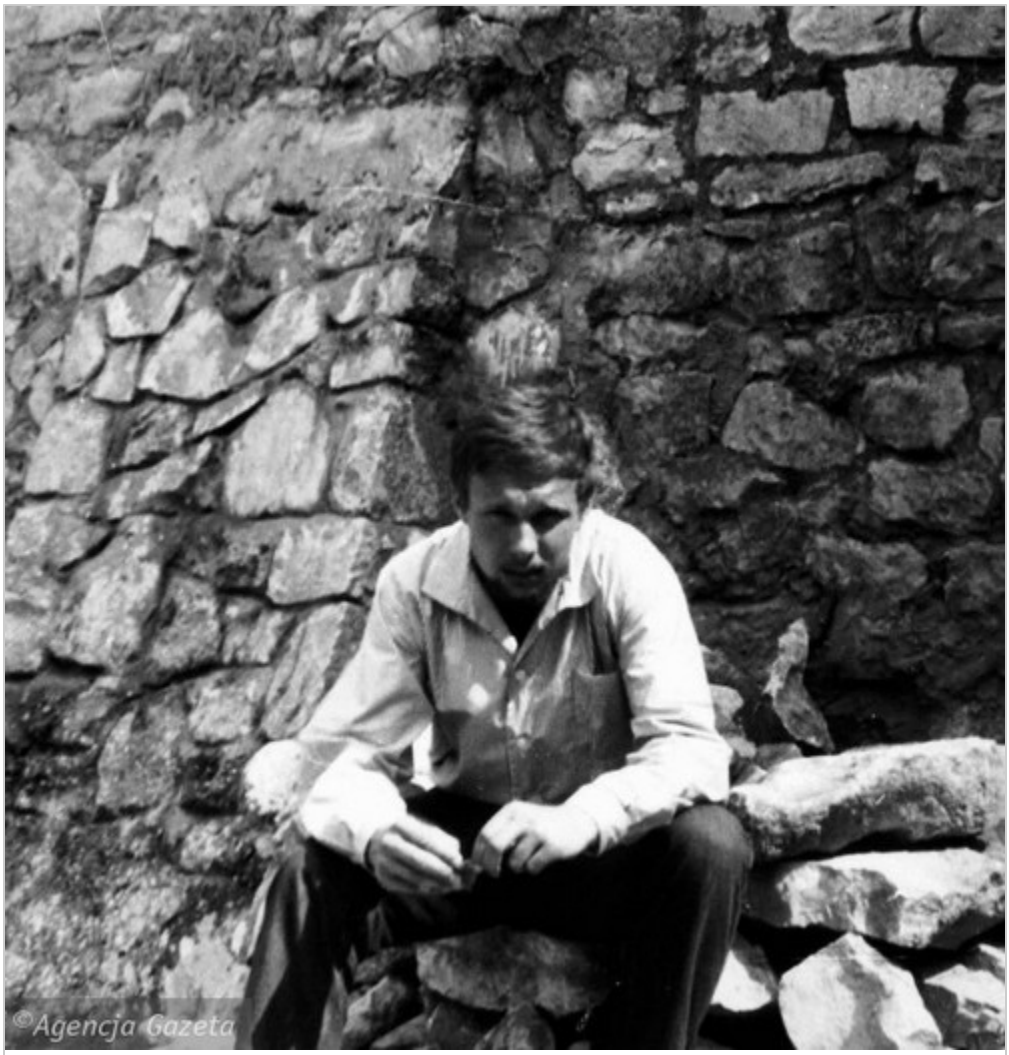
> …Doszło do tego, że boję się siebie samego. Nie wiem jak się w pewnych sytuacjach zachowam. Wtedy – 10 września (1964) – wziąłem żyletkę, przeciąłem tętnicę i odkręciłem kurki gazowe. I obudziłem się na stole operacyjnym… Buduję więc na nowo gmach złudzeń – ale buduję na piasku, nędzne to podwaliny.

> To jest okropny stan – świadomość, że w każdej chwili można ponownie chwycić żyletkę. Teraz wychodzą na jaw idiotyzmy teorii o rzekomej „wolności” człowieka. Trzeba mieć zawsze jakieś ponad subiektywne, nadrzędne normy – trzeba mieć cel!

Tak jak w swoim dzienniku-pamiętniku „Sanatorium”, Wojaczek czasem pisał wiersze sobie je dedykując, które mówiły o tzw normalnym życiu, którego unikał. Oto fragment jednego z nich, gdzie wylicza swoje możliwości:

> Mogąc mieć swoją gwiazdę i manierę własną
>
> I przy pewnych dochodach mieć jeszcze dość czasu
>
> Aby kochać miłością w dobrym tonie smutną
>
> Ale pożywną, jakąś dziewczynę niegłupią
>
> Studentkę filologii albo medycyny
>
> Zamożną z domu, ładną, z gustem oraz czystą –

> Ty mogłeś być poetą. Ale ciągle 'nie’
>
> Uparcie powtarzając dziś nie wiesz, kimś jest!



Rafał Wojaczek, mat. arch.

Tymoteusz Karpowicz, który Wojaczka znał i czuwał nad jego wczesnymi poetyckimi krokami, we wstępie do „Utworów

zebranych” wydanych przez Ossolineum wyjaśnia, że życiowy wybór Wojaczka był osobisty i trzeźwy, że nie było żadnych przyczyn, by eksperymentować ze zdrowiem, wybierać tradycję lumpa ani alkoholika. Jego szaleństwo skierowane było w niego samego, pośrednio w rodzinę. To, co zaczęło się jako chłopięca zgrywa, z czasem stało się grą na serio i przeznaczeniem, z którego nie zdołał się już wywikłać.

Wrodzona większa wrażliwość sztucznie podsycana, pozycja wybijającego się młodego poety, sprawiły, że Wojaczek uzyskał status zbuntowanego artysty obracającego się na pograniczu choroby psychicznej. Nie godząc się na żaden z dostępnych światów, postanowił stworzyć sobie swój własny.

W wierszu na Nowy Rok 1970 napisał m.in.

> Rok łagodnego światła
>
> Wzrok zdolny cieszyć się
>
> Słuch cierpliwy i chłonny
>
> Głos jedynego Boga
>
> Dłoń kochanej kobiety

....

Chleb z zasłużonej mąki

Schron bezpiecznego domu

Gość poproszony w dom

...

Noc spokojna

Sen co przynosi sny

Sny a nie koszmary

Świt nieokrutny

Strach opanowany

Gest odmierzony

Puls równy

...

> Śmiech niehisteryczny
>
> Smak subtelny
>
> …
>
> Mróz nieuciążliwy
>
> Piec ciepły
>
> Łyk dobrej wódki
>
> Woń róży
>
> …
>
> Cel wytyczony
>
> śmierć pobożna
>
> Nie dla mnie.

Liczyć chciał tylko na siebie, na swoje ciało i na swój organizm. Do podstawowych desygnatów wcześnie wziął śmierć obok poezji, miłości i ojczyzny, które zresztą ambiwalentnie się u

niego łączą. Pragnąc siebie potwierdzić, poeta zadaje sobie autentyczny ból. Gnębi go depresja. Miewa kaca, wymiotuje. Te wszystkie stany umyślnie sprowadzone na siebie stały się w końcu kontrolowanym szaleństwem. Wojaczek ćwiczy wolę przeciwko sobie, sam padnie jej ofiarą. Gotowość samozniszczenia obnosi wśród znajomych okaleczając się. Grał z całą świadomością tworząc legendę i chciał, by świat mu się przyglądał z uwagą. Sztucznie głoduje, w próbie uratowania wzniosłości poezji poświęca jej kobietę, brnie przez wszystkie upadki fizyczne i moralne, destrukcję i poniżenie. A to wszystko zdawał się robić z lęku o zatratę tożsamości, gdyż ważna dlań była jedynie własna inność.

Atakowanie, jak byśmy powiedzieli, wszystkich świętości było dlań badaniem ludzkiej wytrzymałości. Roił sobie, że właśnie upadek i poniżenie prowadzą do oczyszczenia. Otoczenie znało go jako osobnika psychicznie obolałego, z kompleksami, niezdolnego do podjęcia normalnej pracy. W Krakowie postawiono mu diagnozę, która go, jego zdaniem, piętnowała. Określono go jako psychopatę z tendencjami schizofrenicznymi. Spędził pewien okres czasu we wrocławskiej klinice, miał przed samą śmiercią być badany przez wybitnego specjalistę.

Od czasu do czasu miał przebłyski rzeczywistości i robił nieśmiałe próby, by się ratować. W liście do Stefanii Cisek napisał posługuje się cytatem z Kafki: „Weź mnie, weź mnie,

splot błazeństwa i bólu”. Ale także rozumiał, że jest już dla niego za późno:

> Zjechałem tu nie w porę
>
> sezon jeszcze nie otwarty
>
> a już miejscowi mówią
>
> że tu się nic nie stanie.

Złakniony sukcesu został przez krytyka nazbyt wysoko postawiony, tak że jego chorobliwy egoizm przestał przyjmować przestrogi, nastawiony już tylko na zwycięstwa. Dopiero po zgonie Wojaczka Karpowicz ostrzegał, że śmierć poznajemy nie umierając, lecz żyjąc. Ale było za późno.

A przecież poeta sygnalizował swoje chorobliwe zauroczenie śmiercią w wielu kompozycjach. Tak np. kończy wiersz „List do nieznanego poety” , wiersz jak najbardziej autobiograficzny.

> Pańską twierdzą i wygnaniem jest ten pokój
>
> Wieź ponad dobrem złem i społeczeństwem

> Czy pan nigdy nie próbuje z niego uciec?
>
> Z rozpaczliwych czterech kątów Piąty: śmierć

Kilka lat sukcesu mieszanego z rozpasaniem zdobyło mu legendę ochoczo przyjmowaną przez młodych. Krytycy podzielili się na hagiografów i oskarżycieli. Dostrzegali jego wielki egocentryzm, ale i zadziwiające widzenie świata „jakby od samego środka bebechów psychicznych"; zdumiewano się, że ze zwykłych słów potrafił pokazać świat w zupełnie innych kolorach, że z organicznego plugastwa zrobił coś urzekającego, nie rozumiano, jak tak młody człowiek mógł widzieć rzeczy ekstremalne, brzydotę wyrażał w rygorach stylistyki i mistrzowsko sprawnego języka. Te cechy zauważył H.Worcell, który prezesował wrocławskim pisarzom. Do największych promotorów Wojaczka, oprócz już wymienionego Tymoteusza Karpowicza, należał Bogusław Kierc, a pozytywnie wyraża się o nim m.in. Jacek Łukasiewicz, który pisząc po dwudziestu latach nazwał jego poezję „rygorystyczną i swoiście pełną". Z tym chętnie się zgodzę. Trudniej natomiast przychylić się do jego opinii, że „czyta się te wiersze z radością". Zdumiewający to dla mnie kwalifikator uczucia powstającego przy lekturze tych osobliwych mimo wszystko wierszy.

W mojej opinii, prestidigitatorskie zręczności Karpowicza i

Kierca niewiele czytelnikowi pomagają. Erudycyjne fajerwerki nie oświetlają zadowalająca dokonań Wojaczka, usiłują go raczej dowartościować przez wymyślne asocjacje i całą ekwilibrystykę domysłów. W ostatecznym rozrachunku te wszystkie strategie nie potrafiły go, tak sądzę, z wydumania wynieść na jakiś grunt obiektywnie rozpoznawalny. Wiemy, że ogromnie pracował nad swoimi tekstami, że miał dziesiątki wersji, że niedługo przed śmiercią oświadczył, że jego dzieło poetyckie jest kompletne. Niemniej wątpliwe jest dla mnie, czy wygrał stawkę o poezję, choć spalił się w jej służbie.

Wielu czytelników widzi w tej poezji głównie figury stylistyczne, chęć epatowania obscenami, pozę eschatologiczną. Anonimowy recenzent Wydawnictwa Literackiego z Krakowa odrzucając proponowany przez Wojaczka do druku zestaw wierszy napisał m.in.:

> Są to wiersze dla socjologa raczej niż dla czytelników. Jeżeli nawet istnieje środowisko dla odbioru tego rodzaju 'poezji', należy otoczyć je opieką i wychowywać. Jestem przeciwko nobilitowaniu chuligańskiej histerii do rangi sztuki... Obsesje były, są i będą motorem wielu utworów, nie można jednak tolerować wulgarności i szokowania ekshibicjonizmem.

Inny krytyk pisząc o obsesyjnych motywach w końcu załamuje

ręce:

> Ale od tych wszystkich kroczy, jelit, odbytów, glist, wymiotów, penisów aż tu gęsto.

Czy więc sama sprawność formalna może ratować jego twórczość? Czy taka krańcowość uprawnia do miejsca w literaturze? Czy te głodówki, pijane ekscesy, wyskakiwanie przez szybę, kaleczenie się umyślne otrzymały ekwiwalenty słowne w myśl, że życie to sztuka? Stąd to *votum separatum* krakowskiego krytyka. Tragiczne więc nieporozumienie, nieszczęśliwa aberracja, koszmar, obłęd, a mniej sztuka.

Nie obywa się przy tym bez paradoksów. Większość krytyków podnosi cnotę pisarską Wojaczka, tj. bezpośredniość wyrazu, autentyczność, szczerość, spontaniczność. Niczego podobnego jednak w niej nie znajdujemy. Materiał jego jest wybitnie literacki i przeszedł przez żmudną obróbkę fachowca.

Życie jawiło mu się jako maska śmierci, z którą najpierw igrał, jak Don Juan ze statuą komentatora, a kiedy ona w końcu rzeczywiście zapukała do jego bramy, wpuścił ją, bo już mu honor nie pozwalał wycofać się ze sprawy. Wojaczek zapowiedziawszy swoje odejście, czekał na odpowiedni moment, aby targać się na swoje życie, i to nie w chwili nieopanowania,

ale w chwili wyważonej, i konsekwentnie zamiar swój zrealizował. Odratowany, gdy próbował się powiesić (w jednym z wczesnych wierszy szukał swojej szubienicy), otruł się środkami nasennymi, których pełny spis pozostawił na skrawku papieru donoszącym o samobójczej śmierci Borowskiego. Ta śmierć miała go zniszczyć, ale także unieśmiertelnić.

Mniej heroicznie natomiast brzmi czterowiersz Rimbauda zakreślony w ramkę, z adnotacją Wojaczka na marginesie „dobre jako przestroga", znaleziony w egzemplarzu jego lektury:

> Młodości próżniaczej
>
> w jarzmo nikt nie chwycił,
>
> przez łatwość wybaczeń
>
> zmarnowałem życie.

Uparta choroba prowadziła Wojaczka do samozagłady. Mając niepospolity dar słowa szukał w literaturze, w poezji ratunku dla siebie. Posiadał często klarowną świadomość inności, potrafił jednak doceniać wartości przez siebie z różną gwałtownością negowane i chętnie z nich korzystał.

Brutalne wyuzdanie i częsty sadyzm wskazują, że padł ofiarą swoich ciemnych demonów: wzywał je, dał im się opętać, a wciągnięty do ostatecznej rozgrywki, w końcu jej nie sprostał. Pozostanie on dla nas niepojętym, zdumiewającym znakiem.

Z Dzikowa do Montrealu. Powojenne losy rodu Tarnowskich.



Marcin hr Tarnowski, Montreal 2008 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Marcin Tarnowski

Urodziłem się w Dzikowie w 1935 roku. W 1939 roku wyjechaliśmy na parę tygodni do Klemensowa, do Zamoyskich – rodziny mojej matki. Gdy zaczęła się wojna, przypadkiem okazało się, że jeden z wysokich rangą generałów niemieckich w Zamościu, dobrze znał rodzinę mojego dziadka. Dał nam więc autobus z eskortą i zostaliśmy ewakuowani do Dzikowa. Dostaliśmy do użytku niewielką część zamku, resztę zajęli Niemcy. W Dzikowie mieszkaliśmy do 1944 roku. Koniec wojny przeżyliśmy w Ojcowie pod Krakowem.

Gdy skończyła się wojna wszędzie panował bałagan, nie wiadomo było gdzie szukać rodziny, nie znaliśmy ich losów. Nie wiedzieliśmy, że nasz ojciec w międzyczasie przeszedł na piechotę prawie pół Niemiec, bo gdy front się przenosił, przerzucano jeńców z oflagu od obozu do obozu, coraz bardziej na zachód. Ale po wstąpieniu do I dywizji pancernej gen. Maczka, zaczął nas szukać. Przypuszczaliśmy, że ojciec będzie nas szukał w okolicach Dzikowa. Z Ojcowa więc na jesieni 1945 roku przenieśliśmy się do Sandomierza. Nie mogliśmy wrócić do Dzikowa, nie było nam wolno. Mieszkaliśmy więc w jakimś domu w Sandomierzu, gdzie dokładnie, nie pamiętam, ale wiem, że budynek przylegał do kościoła św. Jakuba. Suterenami można było przejść do zakrystii. Z naszego domu widać było w dole Wisłę, hen daleko, daleko. Wyobrażaliśmy sobie, że widzimy

Dzików, bo pamiętaliśmy, jak w odwrotną stronę z zamkowej wieży widać było Sandomierz. W Sandomierzu zaczęliśmy chodzić do szkoły. Co jakiś czas chłopi po kryjomu podrzucali nam prowiant z majątku.

Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że ojciec nie wraca do Polski. Przenieśliśmy się więc do Krakowa, a stamtąd matka próbowała na wszelkie sposoby zorganizować nam wyjazd. Wreszcie złapała „zielony transport". Ja wówczas zachorowałem na odrę, musieliśmy się więc podzielić. Najpierw pojechało starsze rodzeństwo, Maria i Jan (w marcu 1946 r,), a potem mama ze mną i młodszym bratem – Pawłem (w maju). Z Krakowa dostaliśmy się przez Cieszyn i Pragę do Norymbergi. Tam przyjechał po nas kolega ojca i zabrał do Meppen. Mieszkaliśmy razem parę miesięcy, a potem na 5 lat przenieśliśmy się do Brukseli.

Znów chodziliśmy do szkoły, ale mnie coś nie szło z językiem flamandzkim, wciąż oblewałem i musiałem być przenoszony. W Belgii mój ojciec miał dużo znajomych, kończył Uniwersytet pod Brukselą, wydawało się więc, że będziemy mogli tam sobie ułożyć życie. Ale w tych czasach na przełomie lat 40. i 50. w Europie Zachodniej bardzo trudno było o pracę, a szczególnie dla młodych przyszłość nie rysowała się optymistycznie. Dlatego ojciec z matką zdecydowali, że lepiej się przenieść tam, gdzie młodzi będą mieli jakieś perspektywy. Wybrali Kanadę, bo tam

łatwiej można było dostać wizę.

Podróż odbywała się małymi statkami, które przewoziły dawniej wojsko, a teraz zostały przystosowane do przewozu emigrantów. Podróż trzeba było odpracować, pamiętam, że my pracowaliśmy w kuchni. Wylądowaliśmy w Halifaxie w Nowej Szkocji. Mieliśmy dalej jechać na zachód Kanady pracować na farmie (ojciec przez jakiś czas pracował na farmie i zbierał kartofle). Ale w końcu zatrzymaliśmy się w Montrealu. Rodzice mieli tu znajomych i krewnych, łatwiej było więc jakoś się zaczepić i zacząć życie w nowym miejscu. Był tu krewny Władzio Tyszkiewicz, u którego zatrzymaliśmy się na parę dni, potem była P. Maria Pinińska oraz P. Dresher, którzy bardzo pomagali ojcu.



Dwóch braci, Jan A. (z lewej) i Paweł (z prawej) Tarnowscy na tle kominka w Wielkiej Sali zamku z obrazem Dziadka Zdzisława hr. Tarnowskiego

wiszący nad nimi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Znów zaczęliśmy chodzić do szkoły. Ja i mój młodszy brat Paweł poszliśmy od razu do college'u. Starsze rodzeństwo musiało pójść do pracy. Rodzice natomiast pracy nie mogli znaleźć. Gdy ojciec powiedział, że ma dwa dyplomy (szkołę handlową i rolnictwo), to człowiek, który go przyjmował, podniósł się z miejsca i oznajmił – ja panu mojej posady nie oddam. Tak więc nie tylko, że było mało miejsc pracy, to trzeba tu było mieć lokalne przygotowanie, znać realia itd. Ojciec więc się zdecydował na jakąkolwiek pracę i poszedł sprzedawać dywany, w dużym sklepie, który wówczas nazywał się Morgan. I sprzedawał je aż do emerytury, na którą przeszedł kilkanaście lat później.

Matka nauczyła się kreślić. Przez jakiś czas pracowała w fabryce samolotów jako kreślarka. Potem pracowała w biurze inżynierskim, które, o ile dobrze pamiętam, robiło m. in. przeróbkę Polskiego Konsulatu w Montrealu. No, a my, młodsi, raz się uczyliśmy, raz nie, zmienialiśmy szkoły, różnie to bywało. Ja nawet w pewnym momencie uciekłem z domu.

Starszy brat Jaś pojechał na zachód Kanady i tam spotkał się z wujem Czartoryskim, mężem siostry mojej matki Anny Zamojskiej. I razem pojechali „szukać skarbów". Od 1953 czy 54

roku poszukiwał najpierw uranu, potem złota, potem nafty. Pracował w Kanadzie i poza nią – w Stanach, Ameryce Południowej, w Afryce, Azji, nawet w Nepalu. Nadzorował całe ekipy. Był od tego ekspertem. Ożenił się z Rumunką z pochodzenia, ma trzy córki, które założyły swoje rodziny. W latach 90., gdy zmienił się ustrój w Polsce, wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Zajął się walką o scalenie dzikowskich zbiorów, zaczął wytaczać sprawy i porządkować rodzinne dziedzictwo. W międzyczasie urodziły mu się dwie następne córki i po raz drugi się ożenił, z prawniczką.

Moja starsza siostra pierwsza z nas wyszła za mąż za Zdzisława Kryzana, adwokata z poznańskich okolic. Poznali się jeszcze w Belgii, potem on przyjechał do niej do Kanady.



Jan A. Tarnowski z siostrą Marią Kryzan na tle szaf archiwum, w najstarszej

części zamku, która się nie spaliła w czasie pożaru w 1927 r, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Mój najmłodszy brat Paweł ożenił się z Kanadyjką, Yolandą i teraz mieszkają Ottawie. Mają dwoje dzieci, i obydwoje są na emeryturze.

Ja, po skończeniu college'u poszedłem na Uniwersytet. Zrobiłem to dla ojca, bo koniecznie chciał, żebym został inżynierem. Ale mnie to zupełnie nie pasowało. Zaliczyłem jeden rok i poszedłem do lotnictwa. Marzyło mi się zostać pilotem, ale zostałem nawigatorem. No i spędziłem część życia w lotnictwie, latałem w tę i z powrotem po Kanadzie, po Stanach. Mam ponad 4 tysiące godzin zaliczonych w powietrzu.

W międzyczasie się ożeniłem. Byłem jedynym z braci, który ożenił się z Polką. Elżbieta była córką majora Rodziewicza, zamordowanego w Starobielsku. Urodziła się w 1940 roku i ojca nigdy nie poznała. Zabawne, bo jej ojciec i mój ojciec, byli przed wojną w tym samym 8 Pułku Ułanów księcia Józefa Poniatowskiego. Nie znali się bezpośrednio, ale wiedzieli o sobie. Mój ojciec był rezerwistą, a jej ojciec w służbie czynnej.

Mamy czwórkę dzieci – córkę i trzech synów. Po 11-tu latach coś

jednak nie grało między nami i rozeszliśmy się. Od tego czasu, oboje żyjemy samotnie, widując się często razem z dziećmi i dzięki Bogu teraz jesteśmy w bardzo dobrej komitywie.

Córka Krysia mieszka w Stanach, ma trzech synów. Na zjeździe w Dzikowie w 2000 roku była Elżbieta z trzema synami. Synowie założyli rodziny, mają też dzieci. Tak więc mam dziewięcioro wnucząt, z przewag chłopców.

Czy któreś z dzieci chce się włączyć w odzyskanie Dzikowa? Nie wiem.

Może najbardziej Michał, mój średni syn, który mieszka pod Ottawą. On pierwszy z braci się ożenił, tak więc jego dzieci są już bardziej samodzielne. Jego żona, mimo, że nie jest Polką, była w Polsce i pozytywnie odbiera naszą tradycję. Dzieci także. Michał zajmuje się stroną internetową Związku Rodu Tarnowskich. Wraz ze swoją matką, Elżbietą pojechał na pogrzeb swojej babki, Róży do Dzikowa w 2005 roku. Bardzo był całą ceremonią przejęty, a szczególnie sprowadzeniem prochów Babci do krypty Tarnowskich pod kościołem oo. Dominikanów w Tarnobrzegu .

Dzieci mówią po polsku, ale żadne nie jest w polskim środowisku. Próbuję dzieciom tłumaczyć, przekazać wiedzę o rodzinie, założyliśmy Związek i mam więc nadzieję, że coś z tego

wyniknie. Ale co dalej będzie? Czas pokaże.



Obraz Matki Boskiej Dzikowskiej w kościele oo

Dominikanów ufundowanym w XVII w.przez Tarnowskich w Tarnobrzegu.

Rozmowa odbyła się w 2008 roku. Rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka. Marcin Tarnowski zmarł w 2009 roku.

Pisarz nie jest właścicielem piękna



Christian Teodorescu, fot. mat. prasowe.

Rozmowa z rumuńskim pisarzem Cristianem Teodoresc o tragikomizmie w życiu i literaturze oraz o utraconej pamięci i jej odzyskiwaniu.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Pańska książka ”Medgidia miasto u kresu” zrobiła na mnie wielkie wrażenie i choć czytałam ją przed rokiem, utkwiły mi w pamięci liczne obrazy. Jednym z nich są papryczki Januszka – jednego z Pańskich bohaterów. Po

przeczytaniu tej historii, papryczki już na zawsze będą mi się kojarzyć z tą opowieścią. Proszę mi przy okazji zdradzić, czy Januszek jest postacią fikcyjną, czy ma swój pierwowzór i czy rzeczywiście zmarł po spożyciu pięćdziesięciu ostrych papryk…

Cristian Teodorescu: Prawdziwy Januszek wielokrotnie zjadał taką ilość papryczek i wygrywał zakłady, ale w tym przypadku jednak naprawdę stracił życie.

BLC: Dla mnie ta historia jest – jak w przypadku innych Pana bohaterów – przykładem ironii losu. Kiedy spodziewamy się (a może pragniemy) jakiegoś pozytywnego zakończenia, sprawy przybierają zgoła tragiczny obrót.

CT: A czy w ogóle możliwe jest życie inne niż tragikomiczne..?

BLC: Ale dla starożytnych Greków było tragiczne.

CT: To prawda, że Grecy nie mieszali tragizmu z komizmem. Prawdopodobnie jedynym zwornikiem był chór antyczny, który komentował wydarzenia na różne sposoby. Moim zdaniem, ten tragikomizm jest naszą daniną, którą musimy oddać jedynemu Bogu, który się ostał w naszej kulturze. W starożytności bogów było wielu. W ”Imieniu róży” Umberto Eco występuje postać, która nie lubi się śmiać: brat Jorge z Burgos. Ukrywał traktat Arystotelesa o komizmie, przekonany o destrukcyjnej sile

śmiechu. Gdybyśmy tak samo myśleli, skutki tego byłyby równie tragiczne, jak w powieści Eco.

BLC: We wstępie do swojej powieści podkreśla Pan rolę prawdy, która została wymazana z pamięci narodu oraz istnienie białych plam w historii Rumunii. A z drugiej strony pragnie Pan opowiadać piękne historie: o swoich dziadkach, o swoim mieście… Która z tych motywacji była silniejsza?

CT: Obie te motywacje były równie silne. Część opisanych przeze mnie historii jest prawdziwa, część wymyślona, ale w obu przypadkach chodziło o to, aby jak najbardziej zbliżyć się do prawdy o tamtych czasach. A że przy okazji są to ładne opowieści, to już nie moja zasługa, tylko tego kogoś ”z góry”. Pisarz nie jest właścicielem piękna, raczej jego depozytariuszem. Trudno też jest jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy tego typu opowieści są w stanie przyczynić się do odzyskania zbiorowej pamięci. Mam jednak nadzieję, że przynajmniej mieszkańcy Medgidii, którzy przeczytali książkę, dowiedzieli się czegoś o nieznanej im kompletnie historii miasta.

BLC: Jednak sposób opowiadania historii jest już dla pisarza charakterystyczny. Język Pana opowieści jest dla mnie wprost niezwykły, co jest zapewne także zasługą dobrego tłumacza, bo przecież nie znam oryginału.

CT: No cóż, czasami bywa tak, że tłumacz jest bardziej utalentowany niż autor (śmiech).

BLC: Nie przesadzajmy. Sam pomysł, układ opowiadań, które są rodzajem mikrokosmosów, bo każde opowiadanie ma swoją dramaturgię i może stanowić odrębną całość – to wszystko są Pana oryginalne pomysły.

CT: Od samego początku myślałem o tym, żeby napisać powieść, która będzie inna niż wszystkie. Pierwszych kilkadziesiąt części nie sprawiły mi zbyt wiele kłopotu – pisały się gładko. Ale około sześćdziesiątej części zaczęły się poważne problemy. Musiałem bardzo się pilnować, aby początek kolejnej opowieści nie był powtórzeniem tego, co wydarzyło się wcześniej, a jednocześnie akcja musiała postępować i rozwijać się. Należało bardziej wysilić wyobraźnię, aby wygrać zakład z sobą samym o to, że uda mi się stworzyć taką właśnie nietypową opowieść.

BLC: Kiedy czytałam Pańską książkę po raz pierwszy, porównałam ją do wschodnich miniatur – precyzyjnie zbudowanych opowieści, mających podwójne dno. Kiedy zajrzałam do niej ponownie, przygotowując się do wywiadu, skojarzyła mi się – *toutes proportions gardées* – z epopeją Homera. W obu przypadkach mamy do czynienia z opowieścią o końcu jakiegoś świata, a poza tym Pan również zbiera w jedną całość historie, które się wydarzyły naprawdę i przedstawia je w

formie literacko wysublimowanej i dojrzałej. Na ile zmienił Pan gotowe historie, że stały się tym ”czymś więcej”?

CT: Kilkanaście spośród opowiedzianych w książce historii zostało przejętych z opowieści moich dziadków i przyjaciół. Jednak większość z nich jest wytworem mojej wyobraźni. Podczas promocji mojej książki w mieście Medgidia jeden z uczestników spotkania powiedział, że słyszał historię majora Scipiona i zaczął mi o nim opowiadać. Kiedy skończył swoją wypowiedź, z żalem musiałem go poinformować, że takiej osoby nigdy nie było i jest ona całkowicie wytworem mojej wyobraźni (śmiech).

BLC: Zawarł Pan w swojej powieści nie tylko ludzkie historie, ale nawet opowieść o psie jednej z bohaterek, co mnie niezwykle urzekło, bo w ten sposób w Pańskim mikrokosmosie nie brakuje właściwie niczego… Jednocześnie czytelnik ma świadomość, że opisuje Pan świat, którego już nie ma.

CT: Wychowałem się w Medgidii i zapamiętałem z dzieciństwa, jak dwa razy w tygodniu przez miasteczko przejeżdżał wóz hycla, który wyłapywał bezdomne psy. W psich oczach widziałem tak wielki smutek, że zapamiętałem to do końca życia. I kiedy zacząłem pisać tę opowieść, postanowiłem poświęcić jej część również psiemu losowi.

Dziadkom, u których spędziłem wczesne dziecięce lata, zawdzięczam wiele opowieści, dzięki czemu udało mi się zapamiętać atmosferę tamtego świata. Ludzie należący do jego elit zostali zepchnięci po wojnie na obrzeża, ponieważ nowy reżim ich nie tolerował. Odchodzili na moich oczach, a wraz nimi znikał tamten świat. Do Medgidii zaczęli przyjeżdżać za pracą nowi ludzie, którzy nieśli ze sobą inne historie, zupełnie różne od dotychczasowych. Po śmierci dziadka Stefana zrozumiałem, że to jest już zupełnie inne miasto.

BLC: Ale powrócił Pan do niego w swojej twórczości…

CT: To nie ja powróciłem do Medgidii, ale ona wróciła do mnie! W pewnym momencie zacząłem sobie przypominać te różne historie i gdyby nie było tych czterech – pięciu głównych postaci, trudno by mi było stworzyć całość opowieści.

BLC: Czy w Pańskiej twórczości temat pamięci jest wiodący?

CT: Temat utraconej pamięci jest obecny w mojej prozie od samego początku, kiedy to powstało opowiadanie ”Dom”, w którym zawarłem historię mojej babci z Medgidii. Po opublikowaniu go w antologii, spoczęło w szufladzie, ale już wtedy chciałem podjąć ten temat ponownie i znacznie szerzej. W innej mojej książce – *Tainele inimei* (”Sekrety serca”) również jest obecna postać majora Scipiona, który całym sobą

przypomina o świecie bezpowrotnie minionym.

BLC: A co Pan pisze obecnie?

CT: W ubiegłym roku pojawił się pierwszy tom z cyklu *Şoseaua Virtuţii. Cartea Câinelui* („Droga cnoty. Księga psa") – powieść o transformacji ustrojowej, od lat 90., kiedy to tworzył się drapieżny rodzimy kapitalizm. Obecnie pracuję nad drugim tomem, ale myślę też o powieści, która tworzyłaby dopełnienie do "Medgdii". Tym razem jednak chciałbym opisać świat dziadków mojej żony, pochodzących z Transylwanii, którzy po wojnie przybyli "za chlebem" do stolicy. Ich losy stanowiłyby kanwę nowej powieści. Mam nawet w głowie gotowy pierwszy rozdział, w którym opisuję prawdziwe wydarzenie. Otóż kiedy zmarła babcia mojej żony, do drzwi zapukało dwóch ubranych na czarno starszych panów, którzy oświadczyli, że są z towarzystwa pogrzebowego "Kukułka" i oferują swoje usługi. Okazało się, że babcia posiadała legitymację z numerem jednego z tego towarzystwa, a co więcej – jego założycielem był mąż babci. Trumnę miał wieźć wóz zaprzężony w kilka koni, ozdobnie wystrojonych w czarne pióropusze. Był rok 1981 i matka żony odmówiła takiego pompatycznego pogrzebu, ale w moim opowiadaniu babcia zostanie jednak pochowana tak uroczyście.

http://kulturaonline.pl/

Syn Polki i indiańskiego wodza – Sienkiewiczem kanadyjskich Indian



Sat-Okh, fot. Daniel Pach, photopach.

Ewa Bagłaj

W życiu Sat-Okha, czyli Stanisława Supłatowicza, połączyły się losy dwóch, nękanych przez historię narodów — Indian i Polaków. Jest on autorem szeregu książek przywołujących indiańską przeszłość, które opierają się na prawdziwych wydarzeniach. Jego współplemieńcy, spychani do rezerwatów, nie byli w stanie obronić swej kultury. Aby im pomóc, Sat-Okh zaczął pisać. Beletryzując historię, przywoływał echo minionych bitew, wskrzeszał szlachetnych bohaterów, opiewał ich dramatyczną, nierówną walkę z białym najeźdźcą w obronie własnej tożsamości, religii i ziemi. Zbierał legendy oraz

informacje o codziennym życiu swych przodków. W stosunku do Indian kanadyjskich jego twórczość spełniała rolę podobną do tej, jaką powieści Henryka Sienkiewicza odegrały w literaturze polskiej.

Sat-Okh (w narzeczu Indian z plemienia Shawnee – Długie Pióro) urodził się około 1922 roku, jako syn Polki i indiańskiego wodza. Jego matka, Stanisława Supłatowicz w 1905 roku w wyniku carskich represji trafiła na Syberię. Stamtąd, wraz z grupą polskich zesłańców, przedostała się przez Zatokę Beringa i Alaskę do Kanady. Tam poznała wodza plemienia Shawnee – Lee-ono-ma (Wysokiego Orła), którego wkrótce poślubiła. Jej nowe imię brzmiało Ta-Wach (Biały Obłok). Sat-Okh całe dzieciństwo i wczesną młodość spędził wśród Indian w kanadyjskiej puszczy, co opisał *w Ziemi słonych skał* (1958). W wieku pięciu lat należał już do tzw. „szkoły wilków", w której uczył się tropienia i polowania. Przebywał wśród Indian do 16 roku życia. Na przełomie roku 1936/1937 wraz z matką i bratem przyjechał do Polski, by odwiedzić mieszkającą tu rodzinę. Hitlerowska agresja zastała ich w Radomiu. Po wybuchu wojny droga powrotu do Kanady została odcięta. Młody Indianin przyjął imię matki oraz jej panieńskie nazwisko i zaangażował się w konspiracyjną walkę z okupantem. W 1940 roku został złapany przez gestapo. Dzięki swej niezwykłej odwadze i świetnej kondycji fizycznej „człowieka puszczy" udało mu się wyskoczyć z bydlęcego wagonu transportującego więźniów do obozu w Oświęcimiu. Został

żołnierzem Armii Krajowej, nieocenionym w konnym zwiadzie (pchor. „Kozak”). Walczył w rejonie Gór Świętokrzyskich. Za męstwo odznaczono go Krzyżem Walecznych. Jako żołnierz I Batalionu Morskiego brał udział w walkach o wyzwolenie Wybrzeża. Po zakończeniu wojny został aresztowany i uwięziony przez władze polskie za przynależność do Armii Krajowej. Przez pewien czas służył w Marynarce Wojennej, był także wolontariuszem w Ratownictwie Morskim. Po uzyskaniu średniego wykształcenia technicznego pływał przez wiele lat jako mechanik na statkach Polskich Linii Oceanicznych. Osiedlił się na Wybrzeżu. W czasie rejsów na „Batorym” udało mu się odwiedzić pozostałą w Kanadzie siostrę. W 1958 roku zaczął pisać, przywołując w książkach swoją indiańską przeszłość. Jego książki przeznaczone były głównie dla młodego czytelnika. Wszystkie własnoręcznie zilustrował. W posłowiu do pierwszej z nich tak określa swoje posłannictwo:

> Polska stała się moją nową ojczyzną. Chciałem jednak tej pierwszej oddać sprawiedliwość. Postanowiłem więc opowiedzieć wam o niej, młodzi przyjaciele, opowiedzieć o życiu Indian, o ich trudnym i twardym losie. Mam nadzieję, że dzięki tej książce potraficie może trochę lepiej niż dotychczas zrozumieć ich życie, marzenia, ich miłość do puszczy, ich walkę o wolność, której pozostało im już tak niewiele, a której tak bardzo im potrzeba.

(Sat-Okh, *Ziemia słonych skał*, Czytelnik, Warszawa 1958, s.243).

Książki te cieszyły się w PRL sporą popularnością nie tylko wśród młodzieży. Autor nie miał ambicji tworzenia tzw. literatury wysokiej, jednak uniwersalna wymowa jego utworów oraz barwne opisy egzotycznych krajobrazów Kanady i jej pierwszych mieszkańców nadają twórczości Sat-Okha pewien walor artystyczny. Jest to jedyny w literaturze polskiej obraz Kanady widziany z perspektywy jej rdzennego mieszkańca. Najistotniejszą jego częścią jest przedstawienie kultury Indian Odzibwejów, zwanych Czarodziejami Lasu.

> Odzibwejowie (Ojibway, Ojibwa), znani w USA także jako Czipewejowie (Chippewa), a na północy Kanady jako Saulteaux (Soto) – byli trzecim co do wielkości plemieniem indiańskim w Ameryce Północnej. (...) Ich sława wywodziła się nie tyle z wyczynów wojennych, ile z niedoścignionej konstrukcji lekkich, zgrabnych i obszernych łodzi typu kanu (canoe) z kory brzozowej, mistrzowskiej znajomości żeglugi śródlądowej, czy kunsztownej wyprawy skór zwierzęcych i przepięknej sztuki dekoracyjnej. Ich pełna finezji sztuka, poezja mitologia, zadziwiające praktyki lecznicze, bogata kultura duchowa i materialna, sprawiły, że Odżibwejów nazywano Czarodziejami Lasu. Ci leśni magowie, artyści,

> wytrawni myśliwi i żeglarze przez wiele pokoleń niepodzielnie władali rozległymi lasami nad Jeziorem Górnym i na Dalekim Zachodzie aż do źródeł Missisipi, kanadyjskich jezior Nipigon czy Seul oraz obrzeża trawiastych równin dzisiejszej prowincji Manitoba i Saskatchewan.
>
> *(*Leszek Michalik, Świat i życie Odżibwejów [w:] „Kayfis ochi.” Biuletyn informacyjny Sztumskie Koła Zainteresowań Kulturą Indian ‚Stowarzyszenie Żółwi”, jesień-zima 2000/2001, nr 2(50), s.16.

Pismo, którego tytuł w języku Kri Równin (Plains Cree) Tłumaczy się jako „dawne drogi” bądź „stare obyczaje” było jedynym w Polsce periodykiem wyłącznie poświęconym szeroko rozumianej współczesnej tradycji duchowości indiańskiej i przez to ważnym źródłem specjalistycznej informacji, wykorzystywanym m.in. w wielu ośrodkach akademickich przez studentów etnologii, religioznawstwa, socjologii i innych kierunków. Numer 50. jubileuszowy prawie w całości dotyczy duchowych tradycji Odżibwejów. Redaktor naczelny pisma, Leszek Michalik, z wykształcenia polonista, z zawodu nauczyciel, pisarz, tłumacz literatury amerykańskiej i dziennikarz w prasie lokalnej woj. pomorskiego, znawca i kolekcjoner rękodzieła indiańskiego, swoje zainteresowania zawdzięcza właśnie Sat-Okhowi, z którym

zetknął się osobiście już we wczesnym okresie młodzieńczym).



Stanisław Supłatowicz (Sat-Okh).

Czytając książki Sat-Okha odnosi się wrażenie, że akcja służy autorowi przede wszystkim jako pretekst do przekazania jak największej ilości wiadomości o życiu swych przodków – ich strojach i fryzurach, wyrobach artystycznych, języku, wyglądzie domostw, o kuchni i rzemiośle, sztuce wojennej i myśliwskiej, codziennych zajęciach i świątecznych obrzędach. Przy okazji obala autor wiele fałszywych wyobrażeń. Np. fajka pokoju to wymysł białego człowieka. W rzeczywistości to święta fajka obrzędowa. (Sat-Okh, *Walczący Lenapa,* Gdańsk 2001, s.25 oraz s.54). Skalpować, o czym wiedzą nieliczni, pierwsi zaczęli hiszpańscy konkwistadorzy. Ciekawy jest też opis wierzeń Odżibwejów i związana z nimi oryginalna mitologia.

> Wszystkie plemiona wschodnie, zamieszkujące lasy od Atlantyku aż do krainy Wawa poza jeziorem Górnym, gromadziły legendy i mity o budowie świata, zbliżone w treści do siebie.
>
> (Sat-Okh, *Walczący Lenapa*, Gdańska 2001, s.94).

Legendy o stworzeniu świata i człowieka zwykle zajmują dużo miejsca w książkach Sat-Okha (*Ziemia słonych skał,* s.7-8; *Walczący Lenapa,* s.94-100; *Serce Chippewaya,* Gdańsk 1999, s.19-25 itd.). Np. bogata wyobraźnię Indian pokazuje mit Mohawków o słońcu i księżycu:

> Kiedy Ziemia zaludniła się, kiedy wyrosły trawy, krzewy i drzewa, kiedy lasy, prerie zaroiły się zwierzyną i ptactwem, a ludzie zaczęli mówić różnymi językami, Słońce i Księżyc spokojnie i zgodnie wędrowały po Wysokim świecie.[296] Po pewnym czasie ludzie zaczęli się kłócić miedzy sobą, nastała niezgoda i wojny.
>
> Gdy Słońce i Księżyc ujrzały, jak żyją ludzie, zaczęły postępować podobnie i zachowywać się jak mąż i żona. Pewnego razu Księżyc – żona, przypadkowo przeszedł jako pierwszy przed swym małżonkiem, Słońcem przez otwór

> wyjściowy na krańcu świata. Doprowadziło to Słońce do takiej złości, że zbił żonę tak bardzo, iż rozchorowała się ciężko, schudła i z pięknej jasnej kuli, świecącej nocą, stała się cienka i zakrzywiona. Nie pokazywała się więc przez pewien czas i nad ziemią w porze nocnej panowała zupełna ciemność. (…)
>
> Księżyc szybko odzyskał zdrowie i znowu stał się piękną, jasną kulą, ale kiedy rozgniewane jeszcze Słońce znalazło się po przeciwnej stronie Górnego świata i ujrzało swą małżonkę w pełnym blasku jej urody, udawało, że jej nie poznaje. Kobieta-Księżyc ponownie zaczęła chudnąć ze zmartwienia, aż stała się podobna do dziecinnego małego łuku.
>
> Od tego czasu choroby Księżyca powracają systematycznie; gdy ma nadzieję na odzyskanie łask swego małżonka Słońca – zdrowieje i nabiera pełnych, okrągłych kształtów, gdy traci nadzieję i martwi się – chudnie.

Książki Sat-Okha opowiadają o szlachetnych ludziach żyjących w symbiozie z przyrodą. Wszystkie swe czynności wykonują oni w. zgodzie z odwiecznymi prawami natury, co wynika z ogromnego szacunku do Matki Ziemi:

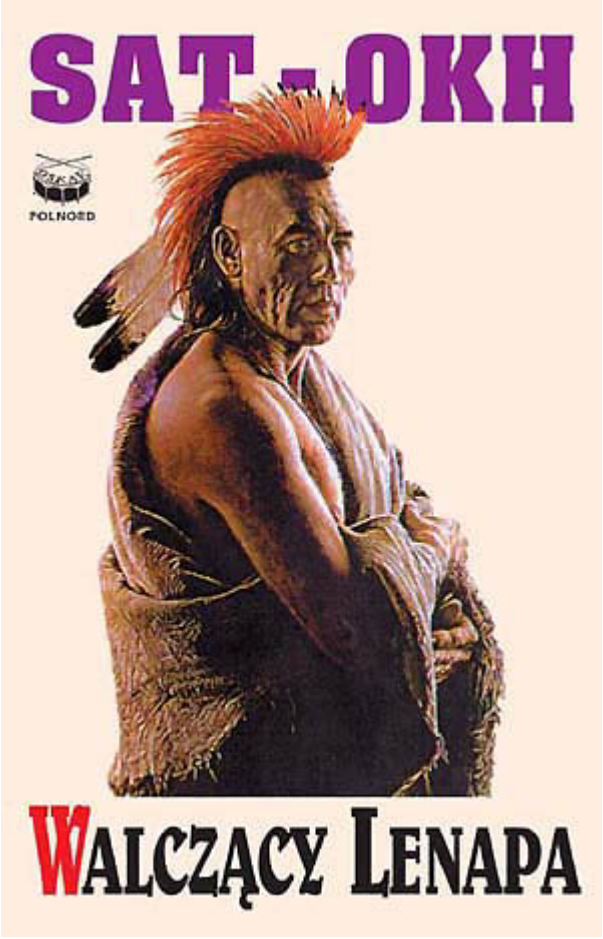
> Ty zaś [czytelniku] zejdź ze mną ze skały w samo serce

> puszczy — zaprasza autor Walczącego Lenapy – Przyprowadziłem cię do niej, abyś ją poznał. Chciałbym cię nauczyć tego, co sam do niej czuję – szacunku i miłości. Jest ona moim domem, domem mego ojca, przyjaciół, domem mego plemienia – Szewanezów. Żywi nas i odziewa, cieszy nas swoim pięknem, ale potrafi też uczyć strachu. (s.98-99).

Narrator traktuje więc czytelnika jak kogoś bliskiego, wyróżnionego zaszczytem wtajemniczenia. Bowiem w ten sposób indiańscy rodzice przekazywali wiedzę swoim dzieciom:

> Nishishin spędzała wiele czasu z córką w lesie, na kwiecistych polanach, tłumacząc jej: – Mała, otwórz uszy na moje słowa, niech na zawsze pozostaną w twoim umyśle i serduszku. W przyszłości, jak dorośniesz, pokażesz je swoim dzieciom. Rozejrzyj się dookoła, popatrz, jak Matka Ziemia okryła się wielobarwną derką utkaną z kwiatów i zielonych krzewów. Nie zrywaj nigdy kwiatów! (…) Zrywając je, nie widzisz, że płaczą. A one naprawdę płaczą, bo zrywając je zabierasz im życie i duszę, wszystko bowiem, co nas otacza, żyje i odczuwa ból. (…) Każdy kwiat odznacza się mądrością. Przez dotyk owa mądrość przenika do człowieka. Jakie to smutne ułamać gałązkę z drzewa, chociaż zostaje ich przecież wiele. Jeszcze bardziej bolesne jest zerwanie kwiatu, to takie uczucie, jakby matka straciła jedyne swoje

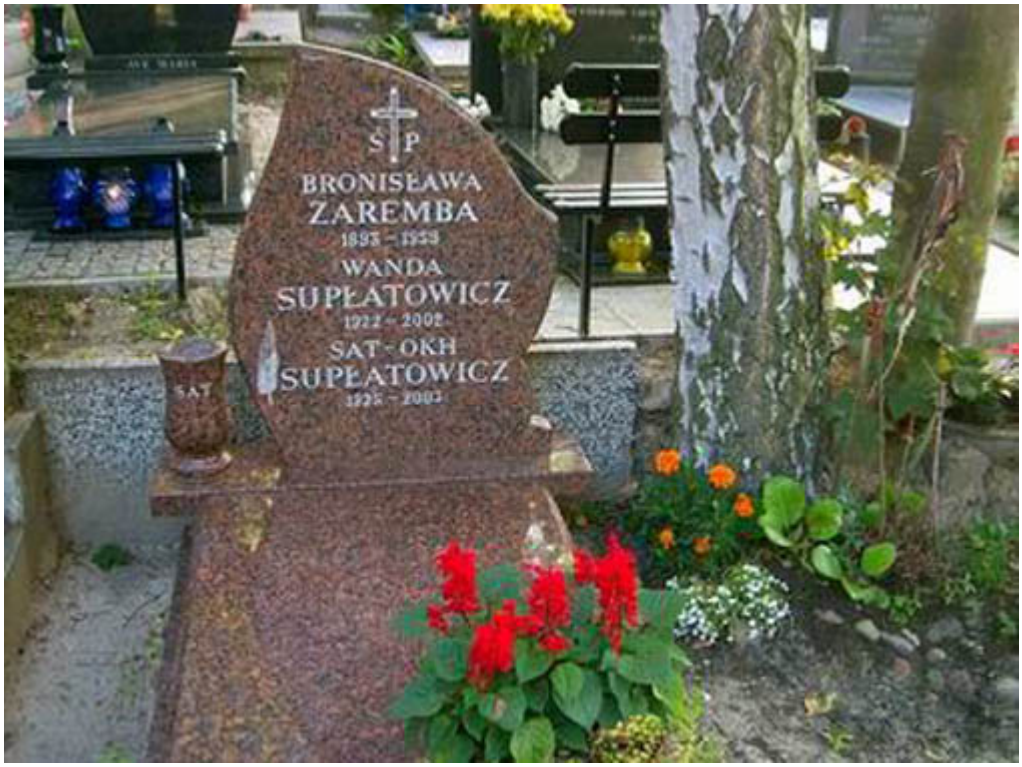
> dziecko, więc szanuj, Pinneyshis, to wszystko, co cię otacza. Pamiętaj, że świat roślin i zwierząt obdarzony jest takim samym życiem, jakie i my posiadamy. Nie zabijamy więc niczego bez potrzeby, bo czy można cieszyć się z czyjejś śmierci i bólu? Wszyscy tworzymy krąg życia, a niszcząc ten krąg niszczymy siebie.
>
> (Serce Chippewaya, s. 52-53).



Wątek ekologiczny jest jedną z największych wartości tych lektur, do dziś przysparza bohaterom Sat-Okha naśladowców. Autor jest również współtwórcą jedynego w Polsce i największego w Europie muzeum poświeconego życiu i kulturze Indian Ameryki Północnej. Wymysłowo koło Tucholi odwiedzają miłośnicy jego twórczości, ludzie którzy w dobie Internetu i dziury ozonowej tęsknią za powrotem do prostoty życia w bliskości z naturą. Książki Stanisława Supłatowicza okazały się więc zupełnie nietypową promocją Kraju Klonowego

Liścia. I to nie tylko w Polsce, bowiem przetłumaczono je na wiele języków europejskich (niemiecki, francuski, czeski, bułgarski, rosyjski, ukraiński), a także poza europejskich (japoński, hebrajski, mongolski). Sat Okh – 1958 „Ziemia słonych skał”; wyd.2, 1958; wyd.3, 1962; wyd.4, 1973; wyd.5, 1974; wyd.6, 1986; 1959 „Biały mustang”; wyd. 2 1960; [wyd. 3] 1983; [wyd. 4] 1983; [wyd. 5] 1987; [wyd. 6] 1993; 1973 „Dorogi schodjatsja” (w jęz. ros., wspólnie z Antoniną Leonidovną Rasulovą); 1981 „Powstanie człowieka”; wyd.2, 1988; 1985 „Fort nad Athabaską” (wspólnie z Yácta-Oya); wyd.2, 1989; wyd.3, 1996; 1990 „Głos prerii”;wyd.2, 1997;1996 „Tajemnica Rzeki Bobrów”; 1999 „Serce Chippewaya”; 2001″Walczący Lenapa”.

Sat-Okh zmarł 3 lipca 2003 roku w Gdańsku. Został pochowany na gdańskim cmentarzu „Srebrzysko”.



Film o Sat-Okhu:

„Dotykanie świata”



Promocja tomu wierszy Floriana Śmieji „Dotykanie świata” w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Prowadzenie Edward Zyman.

Rozmowa z profesorem i poetą Florianem Śmieją

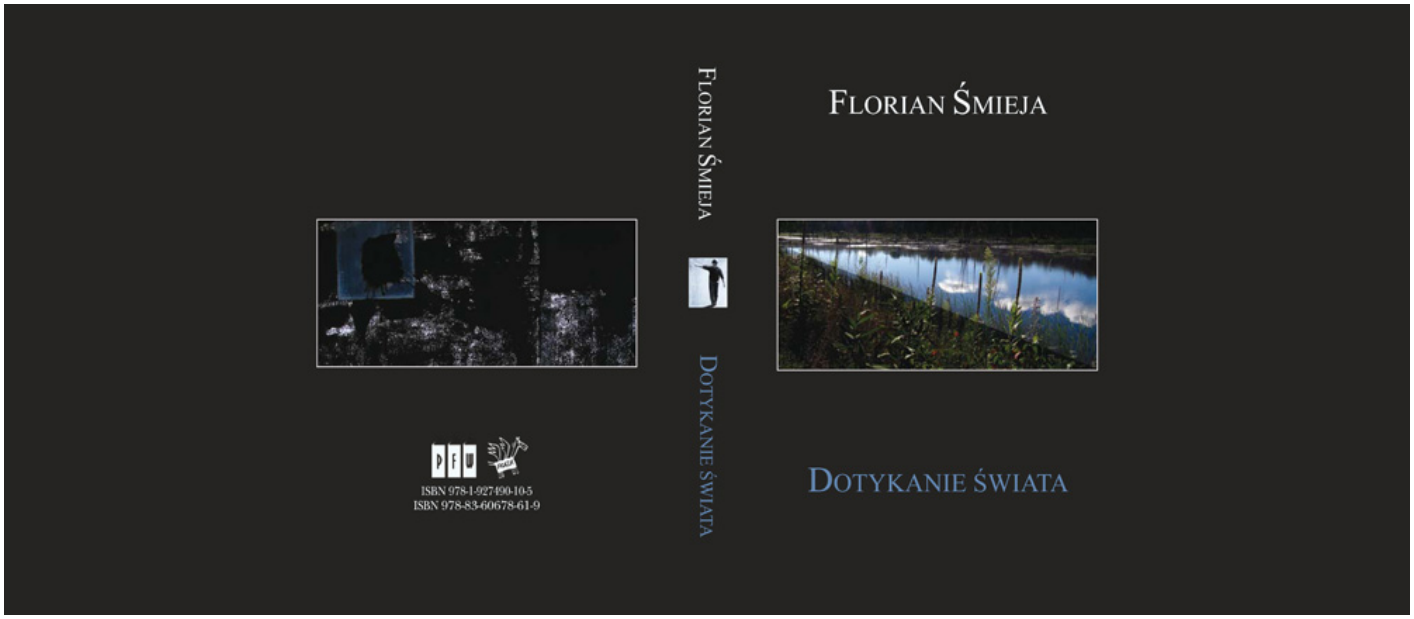
Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie profesorze, w listopadzie

ukazał się tom Pana wierszy „Dotykanie świata”. Jest to podróż przez myśli, obserwacje i emocje z całego Pana życia, począwszy od utworów z tomu „Czuwanie u drzwi” wydanych w roku 1953 aż po najnowsze. W Pana wierszach pojawiają się motywy katastroficzne, mocno zarysowane we wczesnym okresie twórczości, w późniejszym – w warstwie semantycznej łagodnieją, ustępując miejsca refleksji nad sensem bytu.

Florian Śmieja: Byłem świadkiem, a potem uczestnikiem wojny światowej, więc nic dziwnego, że jej horrory zaznaczyły się mocniej w mojej twórczości. Później czasowe oddalenie i zaistniały dystans sprawiły, że odezwały się łagodniejsze tony, a te pozwoliły na zadumę i refleksyjność, na pragmatyczne docenienie stanu posiadania.

JSG: Część z Pana wierszy to małe traktaty filozoficzne pełne rozważań egzystencjalnych. Stawia Pan pytania bez odpowiedzi.

FŚ: Nieraz nas frapuje nieprzewidziany kalejdoskop rzeczywistości i staramy się sformułować swoje niedowierzanie. Stawianie pytań jest łatwiejsze niż ferowanie konkluzji, bo odpowiedzi są trudne, wieloznaczne, często wręcz niemożliwe. Odnoszę wrażenie, że zamiast czuć się *homo sapiens* człowiek jest *homo quaerens intellectus*, raczej istotą dociekliwą, szuka rozumienia, a sama taka aktywność nas już nobilituje.



JSG: Motywy emigracji, ziemi utraconej, wyobcowania, powrót do wspomnień, kraju dzieciństwa, często pojawiają się w Pana utworach. Czym jest dla Pana emigracja zarówno ta fizyczna, jak i duchowa?

FŚ: Emigracja była nieprzewidzianą i niepożądaną przypadłością. Zdemobilizowany po zakończeniu wojny w Anglii, miałem różne pomysły włącznie z zostaniem rybakiem dalekomorskim. Byłem już na kursie w szkockim porcie Aberdeen, kiedy otworzyła się możliwość studiów

humanistycznych w Irlandii. Te mi się powiodły i poszczęściła kariera zawodowa. W rezultacie ułatwiły mi funkcjonowanie w obcym społeczeństwie, a ówczesne liczne i prężne polskie ośrodki i żona Polka sprawiły, że zachowałem swoją tożsamość i nie nastąpiło wykorzenienie. Pokrewne duchowości zapewniły rodzinną harmonię i godziwy rozwój. Nie musiałem też „pisać na Berdyczów", bo mogłem wielokrotnie odwiedzić kraj lat dziecinnych i spotkać jeszcze niektórych pamiętanych ludzi.

JSG: Czy pamięć to istnienie, a niepamięć to lekarstwo na pamięć?

FŚ: Pamięć nazwałem w jednym z wierszy „glejtem na stare lata". Tamże wzywam:

> pielęgnujmy pamięć
>
> skoro nic poza nią nie istnieje.
>
> Bo w chwili próby nie możemy być sami
>
> świat zapamiętany będzie cumą
>
> zbawienną, zapisem wypełnionego…

JSG: Jest Pan mocno osadzony w literaturze i kulturze hiszpańskojęzycznej, włada Pan biegle językiem angielskim, zna Pan język niemiecki. A jednak językiem Pana poezji jest głównie język polski.

FŚ: Słyszy się opinię, że poezję pisze się w języku odebranym od matki, czyli w języku, który jest dla człowieka najbardziej intymny. Pisanie w obcym języku, angielskim czy hiszpańskim, właściwie nie wchodziło w grę. Próbowałem, ale to się nie udawało, raczej wmawiałem sobie, że coś się udało napisać, ale myślę, że to były nieudane próby. Jednak ten język matczyny, dla każdego jest podstawowy, zażądał swoich praw i wydał się najsłuszniejszym. Dlaczego? Bo jak ja napiszę coś po polsku, myślę oczywiście o wierszu, to mam pewność, że to jest właśnie to, co napisać chciałem, nawet jeśli to trzeba poprawiać, wprowadzać pewne korekty.

Każdy inny język, w moim przypadku angielski czy hiszpański, wymagałby jeszcze człowieka, dla którego to jest język naturalny i który potrafiłby wyłapać wszystkie jego niuanse. To właśnie było powodem, że zostałem przy polskim. Był moment, kiedy wraz z kolegami w Londynie zastanawiałem się, czy nie przejść na język angielski.

JSG: Nestor pisarzy polskich, Zygmunt Nowakowski, ani przez chwilę nie zwątpił, że zwycięży język polski.

FŚ: Mimo, że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował: *Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności, nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć*. I dodał na koniec: *A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.*

JSG: Dedykował Pan tom „Dotykanie świata" swojej żonie. Czy żona podróżując z Panem przez życie, podróżuje również przez tworzony przez Pana świat poezji?

FŚ: Żona, towarzyszy mi dzielnie od ponad 62 lat, wędrowaliśmy od Londynu przez Karaiby po Hawaje. Nie sposób negować jej zasadniczego udziału w dotykaniu świata. Wybieraliśmy wspólne wędrówki, względnie godziliśmy się na ofertę losu.



Florian Śmieja z żoną Zofią z Poniatowskich w 62 rocznicę ślubu w lipcu 2016 r.